

Tragedia dzieci na Ukrainie (1929–1933)

Robert Conquest

Od redakcji: Tragedia sowieckiej Ukrainy w latach 30., która pociągnęła za sobą kilkanaście milionów ofiar wciąż jest znana raczej historykom niż szerokiej publiczności. Opowiada się o głodzie na Ukrainie, o represjach wobec „kulaków”, ale prawdziwy obraz tych zdarzeń, przysłonięty rychło katastrofą II wojny światowej z jej konsekwencjami, holocaustem, obozami śmierci, ulicznymi egzekucjami, a także wymazywany skutecznie z pamięci przez stalinowską cenzurę — mgliło rysuje się w naszej świadomości. A przecież okres przymusowej kolektywizacji i terroru głodowego na Ukrainie w l. 1929–1933 daje się porównać w swych straszliwych skutkach tylko z holocaustem, zaś lagry sowieckie, w tym też obozy śmierci, takie jak kolymski, wyprzedziły o wiele lat koncentracyjne obozy hitlerowskie. Cała prawda powoli dociera do naszej świadomości. Niezbyt liczne monografie na ten temat, opublikowane głównie w USA i Anglii, wzbogaciło niedawno wybitne dzieło historyczne, grubo omawiające ten temat. Autorem jego jest znany brytyjski sowietolog, a zarazem poeta, Robert Conquest. Tytuł: „The Harvest of Sorrow” (Hutchinson 1986). We wstępie autor tak określił przedmiot swego dzieła:

W latach 1929–1932 sowiecka Partia Komunistyczna pod kierownictwem Stalina (...) zadawała podwójny cios całemu chłopstwu w ZSRR: rozkulaczenie i kolektywizacja. ROZKULACZENIE oznaczało likwidację fizyczną lub deportację w rejon arktyczny milionów chłopów wraz z ich rodzinami. W teorii miało to doty-

czyć chłopów zamożniejszych, w praktyce — najbardziej opornych i cieszących się wpływem w swym środowisku. KOLEKTYWIZACJA oznaczała skuteczne obalenie ziemskiej własności prywatnej i skupienie chłopstwa w kolchozach zarządzanych przez partię. Skutkiem tych poczynań były miliony zmarłych, szczególnie wśród wywiezio-

nych, także w innych niż Ukraina rejonach, jak Kazachstan.

Następnie w latach 1932–33 nastąpił TERROR GŁODOWY, który objął kolektywizowane chłopstwo Ukrainy i ukraińskiego Kubania (wraz z dorzecziami Donu i Wołgi). Metoda ta polegała na wyznaczaniu bardzo zawyżonych kontyngentów zboża, które należało oddać państwu, konfiskowaniu najdrobniejszych nawet jego ilości z wymierzaniem surowych kar za ich ukrywanie i na zakazywaniu wszelkiej pomocy głodującym z zewnątrz, nawet z innych rejonów ZSRR (...). W parze z tym prowadzono na całym froncie atak na ukraińskie ośrodki intelektualne i kulturalne, na Kościół i przywódców ludowych. Ukraiński chłop cierpiał zatem podwójnie: jako chłop i jako Ukraińiec.

Najtragiczniejszy los spotkał ukraińskie dzieci. Całe pokolenie wiejskich dzieci w całym ZSRR, ale szczególnie na Ukrainie zostało stracone przez fizyczną eksterminację lub przez deprawację. Znaczenia tego faktu dla przyszłości Związku Sowieckiego nie można przecenić. Z humanitarnego punktu widzenia los dzieci w tej wielkiej katastrofie jest tym, co najsilniej atakuje wyobraźnię, ale i z punktu widzenia przyszłości kraju, zarówno zagłada generacji, jak i doświadczenia

(CIAĞ DALSZY NA STR. 3)

Tomas Tranströmer jest czołowym szwedzkim poetą. Był kontrkandydatem Octavia Paza do ubiegłorocznej nagrody Nobla. Tłumaczony na liczne języki obce, w USA został wydany w całości. Wywarł tam tak ogromne wrażenie, że amerykańscy krytycy poewien określono nurt poetycki nazwali tranströmeryzmem.

W Polsce tłumaczony był wyrywkowo, dwa ostatnie jego tomiki ukazały się w wydawnictwie „Miniatu-”, tłumaczone przez Leonarda Neugera. W tym roku Oficyna Literacka zapowiada obszerny wybór jego wierszy.

Prezentujemy pierwodruki Tomasa Tranströmera, nie znane jeszcze nawet w Szwecji. Są to jego dwa wiersze. Otrzymaliśmy je dzięki uprzejmości ich tłumacza, Leonarda Neugera.

Tomas Tranströmer

Kraina niepewności

Naczelnik przechyla się w przód i rysuje krzyżyk,
a jej kołczyk dynda jak miecz Damoklesa.
Jak cętkowany motyl niewidoczny przy ziemi,
tak zlewa się ten demon z rozpostartą gazetą.
Hełm, którego nikt nie nosi, objął władzę,
samica żółwia ucieka lecąc pod wodą.

Pejzaż ze słońcami

Słońce wysuwa się zza ściany domu,
sytuuje się pośrodku ulicy
i zionie w nas
swym czerwonym tchnieniem.
Innsbrucku, muszę cię opuścić
Jutro zaś
rozżarzzone słońce pojawi się
w tym samym na wpół umarłym lesie,
gdzie będziemy pracować i żyć.

Stara i nowa literatura – w starej i nowej szkole

Z profesorem Zenonem Urygą, rektorem Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie rozmawia Józef Wróbel

♦ JOZEF WRÓBEL: Panie Rektorze, na szkolnictwie, a na polonistyce w szczególności, ciąży różne negatywne skutki minionych epok. Co Pan uważa za szczególnie trudne do przezwyciężenia w nauczaniu literatury?

ZENON URYGA: Według mnie najważniejsze jest wprowadzenie równowagi między tym co dzieje się w polonistyce akademickiej i szkolnej. Myślę, że istnieje teraz szczególna potrzeba zaszczepienia w kręgach badaczy literatury i języka postaw proedukacyjnych. Trzeba wyraźnie postawić sobie pytanie, jakie są konsekwencje edukacyjne uprawianej dyscypliny. Jeżeli ta perspektywa będzie jasna, to wtedy można się będzie porozumieć co do tego, jak mają wyglądać programy nauczania, tak aby nie przeciążały młodzieży a dawały jej szansę samodzielnosci, rodziły chęć wchodzenia w cały obszar kultury, dawały poczucie radości wynikającej z obcowania z dziełem. Jeśli bowiem pominąć wąskie kręgi autentycznie zainteresowanych, to obserwujemy, że młodzież

idzie w stronę bylejałości i obojętności w traktowaniu przedmiotu.

— W polonistyce szkolnej dają się wyróżnić epoki panowania mód metodologicznych. Dziś najwyraźniej chyba określają się lata międzywojenne. Może dzięki Gombrowiczowskiemu obrazowi lekcji o Słowackim („Ferdynand”), kiedy odbiór dzieła był podporządkowany kategoriom przeżycia estetycznego. Inaczej i jeszcze klarowniej pod tym względem jawią się lata pięćdziesiąte. Potem trochę zdobył strukturalizm, dość paradoksalnie i z większą konsekwencją wprowadzonych w szkołach podstawowych. Dziś w standardowej szkole przy tradycyjnym nauczycielu jest to marzając elementom procesu historycznoliterackiego z interpretacją wybranych utworów, często zresztą anachroniczną czy aktualizującą choćby odwieczny problem siusznosci wyboru doktora Judy albo Stasi Bzowskiej. Czy współczesna szkoła ma jakieś propozycje metodologiczne?

— Wydaje się, że teraz potrzeba cza-

su skłania dydaktyków literatury do przyjęcia szeroko rozumianej koncepcji kulturoznawczej. Wiąże się to z problemem zmiany roli szkoły. Jeżeli mówimy obecnie o procesach edukacji paralelnej, w której szkoła jest tylko jedną z instytucji biorących na siebie wychowanie i nauczanie, to musimy mieć świadomość, że nie możemy ograniczyć się tylko do przekazywania wiedzy. Nauczyciel musi wziąć na siebie zadanie metodologiczne, musi nauczyć techniki pracy umysłowej, wprowadzić w sprawy języka jako środka komunikacji. Szkoła musi zatem iść w kierunku semiotyki, mówić o kodach, którymi posługuje się kultura, w tym także przekaz literacki, musi wprowadzać w technikę przekładu intersemiotycznego. Nauczyciel powinien wyciągać dydaktyczne konsekwencje z wniosków, które podsuwa mu socjologia literatury. Jego zainteresowanie nie może ograniczać się do samego dzieła i jej struktury, musi być uczulony na to, jak to dzieło rysuje się w kontekście z odbiorcą, zwłaszcza odbiorcą

nieprofesjonalnym, jakim jest uczeń.

Szkoła popełnia tu fundamentalny błąd, bo w miejsce tego, co sędzi o dziele uczeń, wstawia sąd nauczyciela jako czytelnika profesjonalnego. Nauczyciel winien wychodzić od tego, co o dziele sądzi uczeń i prowadzić go ku szerszym perspektywom. Już w dwudziestolecie widział ten problem profesor Stanisław Wojciechowski, który mówił, że nauczyciel ma być nie tylko miłośnikiem literatury ale i miłośnikiem ucznia. To trochę staroświeckie sformułowanie, ale nowoczesna koncepcja podkreślająca perspektywę odbiorcy. Polonista wprowadza swoich wychowanków w świat znaków, z podstawowym systemem znaków języka naturalnego. Chodzi bowiem o to, aby uczeń nie poruszał się wśród nich jako niemy odbiorca, aby miał prawo wypowiadania się i umiejętność przetwarzania tekstu, który otwiera się na odbiorcę. Pojawia się też za sprawą Michała Głowińskiego nieco

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

Stara i nowa literatura — w starej i nowej szkole

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

Inna koncepcja widzenia historii literatury w szkole. Badacz ten wyraźnie rozróżnił to, co jest historią literatury uprawianą badawczo, od tego samego przedmiotu dla użytku szkoły, w której musi on mieć charakter punktowy. Jest to historia wybranych arcydzieł widzianych w zespole najróżniejszych korespondencji, antecedencji i kontynuacji, czyli na szerokim tle rozwoju kultury. Nie sposób ukazać ciągłości procesu historycznoliterackiego, ale wykorzystując wiedzę o nim, trzeba wskazać na wszystkie aspekty interpretacyjne.

— W którym miejscu w dydaktyce szkolnej tworzone ma być wiedza i wyobrażenie o bardzo szeroko pojętej kulturze różnych epok i o historycznym człowieku, dziś podzielona między historię literatury, religię lub religioznawstwo, muzykę, plastykę, wiedza nie traktowana przez historyków i polskie podręczniki historii? Czy udzielić to język polski, czy też należałoby wprowadzić nowy przedmiot?

— Wydaje się, że zdrowy rozsądek nakazywałby przyznanie w programie szkolnym więcej godzin językowi ojczystemu, aby młody człowiek sam mógł dochodzić do kompleksowego obrazu kultury. Szkoła powinna go przygotować do własnej działalności poznawczej, a nauczyciel stworzyć możliwość wyboru lektury. W ten sposób zrezygnowalibyśmy z programu, który wszystko standardowo reglamentuje, nauczanie stałoby się bardziej różnorodne, w różnych szkołach człowiek byłby różnie choć jednako dobrze kształcony. Na tym poziomie trzeba by polonistykę otworzyć trochę na pejzaż semiotyczny, trochę na system aksjologiczny wsparty na systemie wartości samego nauczyciela, bo tylko wtedy będzie on autentyczny.

— W wypowiedziach Pana Rektora nauczyciel jest bardziej projektowany niż realny. Jakich nauczycieli naprawdę mamy?

— Chyba jednak dobrych tzn. takich, którzy są przywiązani do uczniów i wiele by dla nich chcieli zrobić, ale też często mimo swoich chęci nie są przygotowani do spełniania tych wszystkich funkcji, o których mówiłem. Dzisiaj polonista szkolny musi panować nad ogromnym obszarem nie tylko literatury ale i filmu, teatru, tele-

wizji, plastyki, widzieć dzieło w tradycji filozoficznej i etycznej. Do tego niestety nie przygotowują go dobrze studia wyższe, w swym obecnym kształcie zbyt staroświeckie. Pewne obszary można powierzyć temu, co jest nazywane kształceniem ustawicznym, to jednak wymagałoby stworzenia sprawnego systemu ognisk metodycznych.

— Te istniejące nie mają najlepszej reputacji...

— Trzeba by je stwarzać na nowo, ale z udziałem wyższych szkół pedagogicznych i uniwersytetów. Ośrodki uniwersyteckie, podkreślę raz jeszcze, muszą być bardziej otwarte na potrzeby szkolnictwa średniego. Z pewnym niepokojem patrzę na obecne tendencje w kształceniu nauczycieli: osobno traktuje się studia sensu stricto merytoryczne, a osobno jakiś fakultet pedagogiczny, pojawiający się nawet po zakończeniu tych pierwszych. W ciągu pięciu lat nauczyciel powinien nasycać wiedzą nieustannie konfrontowaną z praktyką szkolną.

— Czy warto utrzymywać, zwłaszcza w tym samym miejscu, dwie bliźniaczo podobne do siebie polonistyk, na WSP i na uniwersytecie? Czy mają to być dwie równoległe drogi dochodzenia do tego samego celu?

— Zarysowuje się już jednak pewne zróżnicowanie. WSP jest za modelem kształcenia integralnego, jednocześnie merytorycznego i dydaktycznego. Czas pokaże jaka będzie jego efektywność w porównaniu z modelem uniwersyteckim, który preferuje zdecydowane odseparowanie tych dwóch torów. Czasy są jednak takie, że studenci dość wcześnie zmuszeni będą określać swoją przyszłość zawodową. Wyższe szkoły pedagogiczne byłyby też placówkami, w których w większym stopniu rozwijać by się mogły dydaktyki przedmiotowe. Dydaktycy byłiby zatem naukowcami scalającymi wiedzę polonistyczną i transmitującymi ją do szkół.

— Ostatnie lata otwały przed polonistyką szkolną nowe obszary: literaturę emigracyjną i nowy obraz współczesności, wobec których nauczyciel, zwłaszcza starszego pokolenia i prowincjonalny jest bezradny.

— To bardzo trudny problem, który trzeba rozwiązać systemowo, a nie awaryjnie. Nie wystarczy tu zorganizowanie

wanie akcji odczytowej, trzeba, aby nauczyciel miał w środowisku odpowiednie książki. Stan bibliotek dawnych powiatów jest wprost żałosny. Nauka o literaturze zaczyna się tam i kończy na Bibliotece Analiz Literackich. Książki wychodzące w nakładach stu kilkudziesięciu egzemplarzy służą zdobyciu stopni naukowych, nie oddziałują jednak na świadomość nauczyciela. Z drugiej strony w jego kształceniu trzeba zwrócić uwagę na wszczepianie postawy poznawczej i większą samodzielność sądów. Student, a później nauczyciel operuje sądami z drugiej ręki, na dodatek formułowanymi językiem odległym od kategorii własnego myślenia.

— Ostatnie zalecenia ministerialne dają nauczycielowi prawo do kształtowania, przynajmniej w części, programu indywidualnego w nauczaniu przedmiotu. Jak określić kanon lekturowy i jak wobec tego przemodelować egzamin wstępny na studia wyższe?

— Trudno powiedzieć, jak kształtować kanon, który musi podlegać wielu kryteriom, w tym podstawowemu — muszą go tworzyć dzieła mające na trwałe pozostawać w świadomości wykształconego człowieka, dzieła stanowiące o tożsamości kulturowej społeczeństwa. Opowiadam się za tym, aby kanon ten był wąski. Egzamin wstępny jest dla tego problemu kluczowy, choćbyśmy bowiem zastosowali w szkole najnowocześniejsze koncepcje, to tradycyjny egzamin wstępny spowoduje, że nauczyciel zmuszony będzie nałożyć cały program na przygotowanie ucznia do pokonania tej bariery, będzie on zatem hamulcem postępu dydaktycznego. Zarysowuje się już w naszych planach nowy sposób sprawdzania predyspozycji kandydata, być może będzie to dyskusja na temat książek przedstawionych przez zdającego, w czasie której można zresztą doskonale poznać uzdolnienia filologiczne. Egzamin trzeba zmienić i to jeszcze w tym roku. Jego celem powinien być wybór człowieka inteligentnego, swobodnie poruszającego się w obszarze kultury. Wiedza encyklopedyczna jest tu drugoplanowa.

— Szkoła polska od dziesięcioleci utrwała hierarchie i stereotypy epok i pisarzy. Dziś, zwłaszcza kiedy się słucha polonistów z zewnątrz, a mówi o tym Miłosz i Barańczak, widać że z perspektywy zachodnioeuropejskiej czy amerykańskiej szczególnego blasku nabiera barok a traci romantyzm, pierwszy prawdziwie europejski, drugi specyficznie polski izolujący nas od świata. Czy takie przewartościowania są możliwe i potrzebne?

— Na pewno trzeba oderwać się od schematów. A schematy, owe „mosty nad pustką rozpięte” powstają wtedy, kiedy uczeń czyta zaledwie kilka ut-

worów z epoki, a wiedzę o procesie historycznoliterackim czerpie z innych źródeł, z drugiej ręki. Jeżeli rzeczywiście sądy ucznia oprzemy na lekturze, wówczas obraz epoki będzie bardziej samodzielny i autentyczny.

— Czy uczniowi pomogą w tym podręczniki?

— Tu mamy pewien postęp. Najnowocześniejszy jest niewątpliwie podręcznik dla pierwszych klas licealnych. Każdą koncepcję metodyczną pogrzebie jednak drukarz podręcznika są słabe pod względem edytorskim, a przecież ilustracje to nie dekoracja podręcznika, mają one znaczenie semiotyczne, są informacją kulturową. Konieczne trzeba powołać zespoły naukowców i praktyków przygotowujących podręczniki według nowoczesnych założeń metodycznych. Z sentymentem myślę o latach przedwojennych, kiedy w pracach takie angażowali się wielcy profesorowie jak Julian Krzyżanowski czy Jan Bystroń.

— A czy nauczycielowi pomogą w tym pisma metodyczne, np. „Polonistyka”?

— „Polonistyka” nas nie satysfakcjonuje. Przybrała kształt pisma popularnonaukowego przygotowującego przemielone sądy naukowe do łatwego reprodukcji, a powinna się zająć nowoczesnymi aspektami metodycznymi wiedzy polonistycznej, dawać wzorce wprowadzania tej wiedzy do szkoły.

— Nauka języka i literatury ojczystej ma nie kwestionowany priorytet w edukacji. Jak jest według Pana Rektora szczególnie uzasadnienie tej pozycji?

— Język polski jako przedmiot nauki szkolnej musi budować drogi, po których może poruszać się człowiek sprawnie funkcjonujący we współczesnej kulturze, a jest to możliwe jeśli zbudowany zostanie przynajmniej czwórnymiarowy model nauczania. Jego fundamentem jest wykształcenie podstawowych instrumentów uczenia się, a więc dostarczenie narzędzi szeroko rozumianej komunikacji, tj. mówienia, czytania, pisanie; jako drugim elementem jest wiedza i świadomość historyczna, trzecim widzenie człowieka w wymiarze społeczno-filozoficznym, zwanym umiejętnością obcowania z wartościami estetycznymi, rozumianymi nie tylko jako wiedza o kategoriach poetyki, ale jako radość przeżywania.

— Dziękuję za rozmowę i wierzę, że nauczycieli umiających podjąć tym zadaniem będzie coraz więcej.

Rozmawiał

Józef Wróbel

Co nowego w prasie?

Do najciekawszych czasopism, jakie ostatnio pojawiły się w kioskach, należy miesięcznik TEATR (nr 12 z 1990 r.). W odrędnym wstępie do numeru czytamy: „Sztuka i historia. Albo sztuka i polityka. I wolność: wolność sztuki i sztuka wolności. Takie oto tematy w sposób mniej lub bardziej jawny przewijają się w niniejszym zeszycie. (...) Emitowane w Teatrze Telewizji przedstawienie „Do piachu” Tadeusza Różewicza, jedno z najwybitniejszych wydarzeń artystycznych ostatnich miesięcy, jeśli zgoda nie lat, wzbudziło komentarze i emocje, które pokazują, do jakiego stopnia świadomość zbiorowa opętana jest przez aberracje i obsesje. To zresztą dobrze widać także w życiu politycznym, w którym wyjątkową hośję przeżywają poglądy prawicowe, nacjonalistyczne i klerikalne. Niedobra pora dla sztuki. (...) Sztuka przestaje się liczyć, a właściwie liczy się wyłącznie jako wypowiedź polityczna czy ideologiczna”. A w numerze m. in. artykuł Janusza Majcherka o telewizyjnym „Do piachu” oraz o

zenująco prymitywnych reakcjach niektórych patriotycznie przewrażliwionych widzów. Tekstami tymi redakcja wyraźnie określa swe stanowisko ideowe. Bardzo ważne dla najnowszej historii polskiej kultury i jej związków z polityką jest obszerne opracowanie Andrzeja Hausbrandta i Andrzeja Jareckiego dotyczące teatru i środowiska teatralnego w stanie wojennym. Ten szczegółowy raport to jakby skrócony teatralny odpowiednik słynnej „Kadencji” J. J. Szczepańskiego.

W tym samym numerze znajdujemy duży wywiad z Janem Kottem, przeprowadzony przez Beate Guczałską. Dotyczy on sytuacji teatru we współczesnej kulturze. Oto jak znakomity krytyk i teatrolog widzi przyszłość teatru w Polsce: „...można sobie wyobrazić, że w sytuacji, jaka się w Polsce rysuje: ograniczeń finansowych, braku dotacji — dojdzie do zamknięcia wielu teatrów. Pozostaną po prostu teatry wielkiego aktorstwa. Ostatecznie tym, co naprawdę w teatrze zostaje, niezależnie od wszelkich agitacji społecz-

nych czy politycznych, jest wielkie aktorstwo. (...) Będzie istniał z jednej strony teatr półpornograficzny, bardzo rozrywkowy, na bardzo niskim poziomie, a z drugiej strony elitarny teatr wielkiego aktorstwa i często wspaniałych sztuk. Będzie teatr zaspokajający niskie potrzeby, a prawie nic w środku”.

Z tą wizją przyszłości teatru korespondują poglądy na

jest koniecznie potrzebne — zwłaszcza Dostojewskiemu. Wystarczy, aby go czytało w kraju 2—3 tys. ludzi, bo taka ich liczba gwarantuje dalszy rozwój kultury. Miałaby ona zawsze charakter elitarny (...) i taką pozostanie. Ta bujda o upowszechnianiu to typowo bolszewickie gadanie. (...) Komunizm sprawił, że wykształcenie jest rodzajem kastełu. Znaczny odłam tzw. klasy robotniczej do dziś wierzy w ko-

Niepolitycznie o polityce

RZECZPOSPOLITA NA JEDNEJ NODZE? Rzeczpospolita to zarówno wybrany przez naród prezydent, jak i wybrany przez naród parlament. Opiera się ona i na jednym, i na drugim. Trudno powiedzieć, żeby aktualny, kontraktowy — 65 proc. plus 35 proc. — niby-Sejm był rzeczywiście reprezentującym wolę narodu Zgromadzeniem Ustawodawczym. Dalsze odraczanie w pełni wolnych wyborów do Sejmu grozi zachwianiem równowagi państwa i może doprowadzić do upadku jego odradzającej się powagi. Demokracja nie ustoi na jednej nodze!

JAN PROKOP

temat przyszłości polskiej kultury, jakie w polskim tygodniku WPROST (nr 1, 1991) wypowiada Andrzej Szczypiorski, pisarz i senator w rozmowie z Wiesławem Kottem. Jest to bodaj najbardziej bezkompromisowo wyrażona wizja kultury elitarniej, z jaką spotkałem się w naszej prasie. Na pytanie czy bohater naszych czasów musi czytać Dostojewskiego, Szczypiorski odpowiada: „Nie musi. Biznesmen w pierwszym pokoleniu czytuje tylko książki rachunkowe. Ale już jego dzieci i wnuki mogą sięgać po Dostojewskiego, ale to też nie

munistyczne brednie, że jest „siłą przewodnią” narodu, więc po co ma się kształcić (...) A czy może nie być zdziwienia obywateli, jeżeli w Polsce od tylu lat wielki uczony zarabia mniej niż facet, który rozwodzi łogiel? Jeżeli panuje zasada, że wszyscy mamy jednakowe żółtątki? Oczywiście, żółtątki mamy równe, ale rozumiemy je inaczej. Równość polega na tym, że każdy ma równe szanse, równy start, a jak to wykorzystać, to już jego sprawa. Albo jesteśmy równi, albo jesteśmy wolni — tego nie da się pogodzić”.

W ostatnich dniach minionego roku ukazał się pierwszy próbnym numer (bez kolejnej cyfry) nowego czasopisma: są to SPOTKANIA, pismo wzorujące się — pod względem formy i treści — na amerykańskim „Newsweeku”. Redaktorem naczelnym jest Maciej Błowiecki, który we wstępnym oświadczeniu pisze m. in.: „Naszym zaleceniem wydawniczym są „Editions Spotkania” zastąpione paryskie wydawnictwo emigracyjne, dziś obecne już także w Warszawie i francuska grupa „Express” wydająca w Paryżu m. in. największy tygodnik francuski L'EXPRESS, o zasięgu i znaczeniu międzynarodowym. (...) Nie jesteśmy związani z żadną grupą polityczną (...) i w tym sensie jesteśmy niezależni i tę niezależność utrzymamy. Ale nie taimy, iż będziemy sprzyjać tym wartościom, które są ważne dla chrześcijanina i Europejczyka. Przyznajemy też, że za najlepszą formę życia społeczeństwa uznajemy demokrację typu zachodniego”. Nowe pismo wyróżnia się szatą zewnętrzną: niespotykane do tej pory w polskiej prasie warunki papieru (znakomita kreda), doskonałymi czarnobiałymi zdjęciami. Problematykę sensu stricto kulturalną w tym próbnym numerze reprezentują: wspaniałe ilustracje artykułu o Tadeuszu Kantorze pisma Jana Kłossowicza, tekst Andrzeja Oseki ukazujący rolę komiksu we współczesnej kulturze oraz praca prof. Józefa Kozieleckiego poświęcona zmarłemu ostatnio B. F. Skinnerowi, sławnemu i kontrowersyjnemu psychologowi amerykańskiemu.

J.L.

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

tych, którzy ocalili, przyniosły do dziś odczuwane skutki społeczne.

Posiadane przez nas fotografie zagłodzonych dzieci, nawet niemowląt, z tego okresu, z kończynami jak patyczki i czaszkami powleczo-nymi cienką skórą, rozdziera-ją serce. I nie ma na nich postaci ludzi spieszących na ratunek. Odwrótnie niż na o-branchach ukazujących sceny z pierwszej klęski głodu w So-wietach w 1921 roku. Jeden z obserwatorów notuje: „Bied-ny ten chłopiec widział tak wiele śmierci i cierpień, że wydają mu się one samą isto-tą życia. Nie znał bowiem in-nego. Dzieci zawsze przyjmo-wały okropności dziejące się wokół nich jako rzecz oczywi-stą”. (...)

Conquest cytuje je-dno z czasopism, jesz-cze z 1929 r., które za-leca poddawanie w szkole prześladowa-niom dzieci kulaków dla wywarcia presji na rodzicach, którzy „złotliwie ukrywają zboże”.

(...) Podczas akcji „rozku-laczania”, w latach 30. gdy chłopów aresztowano i wy-

żywym dzieckiem w ramko-nach. Miała dwadzieścia dwa lata i odeszła kil-kanście kilometrów od swo-jej wsi. Dziecko — dziew-czynkę — oddano do punk-tu wyżywienia i nie wia-domo, czy dowiedziała się kie-dykolwiek o losie swej matki.

Artur Koestler widział z pociągu umierające z głodu dzieci, które „wyglądały jak embriony w butlach ze spiry-tusem”. Inny opis tegoż auto-ra z książki „The Yogi and the Commissar” (New York 1946): „Wzdłuż stacji kolej-o-wych stali żebrzący chłopcy z opuchniętymi rękami i stopami, i kobiety podnoszące ku oknom wagonów swoje strasznie wy-gładzone dzieci z ogromnymi chwiejącymi się głowami, ciętymi jak zapalniczkami i nóżkami, z opuchniętymi spiczastymi brzuchami”. A do-dać należy, iż opis ten dotyczy ludzi na tyle silnych, że jesz-cze mogli dojść do torów. Jed-en z najbardziej wstrząsają-cych opisów pochodzi od Wa-syla Grosmana, który porów-nuje te dzieci z wyglądu do żydowskich dzieci w hitlerow-skich obozach koncentracy-jnych, przeznaczonych do kom-ór gazowych. „Ale — doda-je — to były dzieci sowieckie, skazywane na śmierć głodową przez sowieckich ludzi”.

W wielu wypadkach dzieci umierały z głodu razem z ca-łą rodziną. A jeśli — bywało

pierwszym lub drugim dniu. Istniały też inne niebezpie-czeństwa. GPU odkryło w Połtawie normalnie funk-cjonującą rzeź-nię, w której krymina-liści szlachtowali dzieci. Zostały opisane jesz-cze co najmniej dwa podobne przypadki.

Jeśli dzieciom udawało się przetrwać, to dzięki te-mu, że łączyły się one w zorganizowane grupy. W Charkowskiej Fabryce Trak-torów wszystkie nie skończone jeszcze budynki zamieszkiwa-ły bezdomne dzieci. Grzebały w śmietnikach szukając wy-rzuconych rybich głów i obie-rzyn, polując na pozostałe przy życiu koty i ptaki, albo żebrały.

Przy stacjach kolejowych grasowały dziecięce gan-gi składające się z małych dwunasto- do piętnastoletnich a czasem nawet z pięcio- sześciolletnich złodziejaszków. Wielu z nich wpadało potem w towarzystwo dorosłych „ur-ków”, kryminalistów, którzy już od XVII wieku tworzyli w Rosji swoistą subkulturę, a których ilość w okolicach 1940 roku obliczano na milion. Bandy kilkunastoletnich „ma-łolatków”, które znalazły się w obozach gulagu były po-strachem wszystkich więź-niów, zwłaszcza mniej do-świadczonych, politycznych. Z byle powodu dokonywały one

i trzymane pod strażą. Było ich ok. 75. Podano im na-miastkę kawy i trochę chleba, w krótki czas po czym wszy-ście pomarły i zostały po-grzebane w okolicznych ro-wach. Jeden z robotników ko-lejowych stwierdził, że prak-tyki takie były na porządku dziennym.

Kiedy w kirowogradzkim bazarze podczas klęski głodu zamienionym na sierociniec powstało takie przepełnienie, że brakło już odrobiny miej-sca, dzieci przeniesiono opodal do tzw. „miasta dzieci”, oto-czonego wysokim murem, tak, aby nie można było dostrzec niczego od zewnątrz. Przecho-dzące obok kobiety zęgnęły się słysząc tylko nieludzkie jęki zza muru — i uciekały z tego przerażającego miejsca. Dzieci bowiem nie dostawały żywności i mieszkając pod go-łym niebem umierały maso-wo. Oficjalnie notowano, że zgon nastąpił wskutek „osła-bienia systemu nerwowego”. Aby ukryć rozmiar śmiertel-ności ladowano zwłoki na auto-ciężarowe i wywożono nocą. Jednakże z przeładowa-nych aut zwłoki się często zsuwały i co dzień dozorca przechodził trasę, aby usunąć leżące ciała. Grzebano je tak płytko, że ziemię rozgrzeby-wały zgłodniałe psy i wilki. Dr Grzegorz Czynczenko obli-cza ilość tych ofiar na tysią-ce.

nierów schwytała i od-dała w ręce milicji dwie kobiety za ukry-cie trzech (!) kłosów zboża. Przy tym jedna z nich była wdową po zamordowanym, druga żoną deportowanego wieśniaka.

Dzieci zatrutowo propa-gandowymi opowieścia-mi, jak ta, najbardziej znana, o 14-letnim pawce Mo-rozowie, który zadenuncjował swego ojca, skazanego potem przez sąd, za co grupa chło-pów, łącznie z jego stryjem, dokonała na chłopcu samosa-du. Miało to miejsce w słyn-nej odąd wsi Gierasimowka, w której jeszcze w 1965 roku wzniesiono pomnik ku czci Pawła Morozowa, a niedawne wydanie Wielkiej Encyklope-dii Radzieckiej informuje, że jego imię wraz z kilkoma in-nymi podobnych mu „bohate-rów” zostało wpisane do Ho-norowej Księgi Pionierów.

W swym długim przemó-wieniu z okazji 20-lecia taj-nych służb sowieckich, w gru-dniu 1937 r., Mikołaj wych-walał — wymieniając ich z imienia — tych obywateli ZSRR, którzy złożyli donosy, podkreślając ze szczególną du-mą przypadek 14-letniego Kofa Szelgowa, denuncjatora swego ojca: „Pionier Kofa

Tragedia dzieci na Ukrainie (1929-1933)

wożono, dzieci ich pozosta-wały bez opieki, na łaśce lo-su. Nawet wdowa po Leninie, Nadieżda Krupskaja wstawia-ła się za nimi, zarzucając po-zostałym na wsi ludziom, że nikt ich nie adoptował, ani nawet nie udzielał schrone-nia w swym domu. Znałe są jednak wypadki, kiedy było inaczej. (...) np. małorolny chłop ukraiński odmówił wstąpienia do kołchozu, za co go aresztowano, i pobitego wywieziono do łagru. Żona jego powiesiła się w stajni, a bezdzietna rodzi-na zaopiekowała się ich ma-łym chłopcem, który całe dnie spędzał w swym dawnym o-puszczonym domu, przycho-dząc tylko na noc do swych opiekunów.

(...) Podczas wywozów w la-tach 1930—32 małe dzieci sta-woły wysoki, bo 15—20 pro-cent zgonów, a jeszcze wię-cej umierało ich na zesta-niu. (...) Dzieci tych, których wywieziono lub które uciekły z zestania, żyły na marginesie egzystencji i wiele z nich rów-nież zmarło. Niepodobna okre-sić, zarówno co do dzieci jak i dorosłych, jak wiele ofiar pochłonęły deportacje, a ile głód; jednak więcej świadectw przemawia za tym, że głód był głównym zabójcą.

(...) Pozostałe przy życiu wiejskie dzieci na U-krainie wiodły wów-czas straszliwy żywot. Nie tylko trapił ich wzrasta-jący głód, ale i nieustanny stan napięcia psychicznego, który niszczył związki rodzi-ne. Wasyl Grosman napisał, że niektóre matki zżenawidziły swe dzieci. Jeden z ojców za-kazał żonie karmić swe dzie-ci, a gdy przekonała się, że sa-siad je dokarmia mlekiem, do-niósł na niego, jako na spe-kulanta. (...) Głodowe szaleń-stwo nieraz doprowadzało lu-dzi do kanibalizmu i wiele jest świadectw na to, że ro-dzice zjadali własne dzieci.

Groźba śmierci głodo-wej zmuszała nieraz do rozpaczliwych wyborów. Kiedy pewnej kobiecie gratu-lowano w 1934 roku, że zdo-lała do tego czasu wychować trójkę dzieci, odpowiedziała, że miała ich sześć, lecz postanowiła ocalić troje naj-silniejszych i najmądrzejszych, a pozostałym pozwoliła umrzeć grzebiąc je za domem. Gdzie indziej znajdujemy wzmiankę o kobiecie, którą znaną martwą na drodze pomiędzy dwiema wioskami z

— dzieci przeżyły swych ro-dziców, nie wiedzieli, co z sobą począć. Dziennikarz za-graniczny opisuje chatę na wsi w pobliżu Charkowa i po-zostałą przy życiu czternasto-letnią dziewczynę, ze swym dwupółrocznym bracisz-kiem, który czołgał się po po-dłodze jak żaba, a ciałko jego było tak zniekształcone, że nie przypominało ludzkiej i-sioty. Nie znał on smaku mleka lub masła, raz tylko skosztował trochę mięsa. Cza-sem dawano mu nieco czar-nego chleba czy kartofli, ale gdy dziennikarz ów spotkał te dzieci, od dwu dni nie jadły. Inne wędrowały gdzieś w poszukiwaniu jedzenia i u-mierały po drodze. Nikt ich nie szukał, nie pytał o nie — marły jak kocięta.

(...) W tak rozpaczliwej sy-tuacji rodzice wypra-wiali swe dzieci z do-mu w nadziei, że utrzymają się przy życiu żebraniem czy małymi kradzieżami. Pewien bolszewicki partyzant i akty-wista w rejonie połtawskim wstąpił w 1930 roku do kołchozu z żoną i pięciorgiem dzieci, był lojalnym kołchoz-nikiem. Kiedy jednak głód dot-knął rodzinę, wziął czwórkę swoich dzieci (piąte zostało zabite podczas kradzieży ja-rzyn) poszedł do sekretarza rejkomu, który jednak nie u-dzielił mu żadnej rady. Wte-dy kołchoznik zostawił dzieci w biurze, skąd wysłano je po-tem do domu dziecka. Dwoje z nich wkrótce zmarło, a w parę dni później ojciec ich powiesił się na drzewie obok rejkomu.

(...) Pewien dziennikarz a-merykański, opisuje taką sce-nę: Kobieta wiejska, ubrana w lachmany, ciągnęła za resz-tki odzienia trzy — lub czte-roletnie dziecko, tak jakby dźwigała ciężki wór. Zaciąg-nęła je na główną ulicę, dziecko upadło w błoto. Mia-ło opuchnięte ciało, siną twa-rzyzkę z pianą dokoła ust. Była to jakby wiązka śmier-telnie chorych członków ludz-kiego ciała, które utrzymywał w całości słaby oddech życia. Matka pozostawiła dziecko na drodze w nadziei, że może ko-muś uda się je uratować. Przewodnik dziennikarza usi-lując go „pocieszyć” powie-dział, że wiele tysięcy dzieci spotkał podobny los w tym roku na Ukrainie.

(...) Dzieci pozostawione przez rodziców w miastach u-mierały najczęściej już w

morderstw na swych współ-wieźniach. (...) Zjawisko to znane było jeszcze z lat po-rewolucyjnych i z okresu pierwszego głodu 1921—22, kiedy to „beprzornij” (bez-domne sieroty po rodzicach wymordowanych czy wywie-zionych podczas wojny domo-wej) tworzyły bandy grasują-ce po całym kraju. Do tych faktów przyznawały się na-wet władze, a w niektórych utworach literackich, jak w powieści Szyszakowa „Dzieci ciemności”, ukazany jest los „beprzornych” tworzących bandy rabusiów, narkomanów, a w końcu też morderców.

(...) W tym kontekście jakże sztywno brzmi stwierdzenie zawarte w artykule czasopi-sma Voprosy istorii KPSS (nr 8, r. 1966, str. 112), że dzięki sukcesom industrializacji i ko-lektywizacji można było cał-kowicie rozwiązać problem bezdomnych dzieci: „Oto naj-lepszy przykład na to, że tylko państwo socjalistyczne może ocalić dorastające pokolenie od głodu, nędzy i bezdomno-sci — nieuniknionych w spo-łeczeństwie burżuazyjnym”.

(...) Na mityngu Komisarja-tu Edukacji M. S. Epstein, komisarz ludowy porównał w 1935 r. „troskę, jaką darzy dzieci nasza partia i jej przu-wodcy, z okropnym losem dzieci w państwach kapitali-tycznych: zmniejszająca się ilość szkół, zastraszający wzrost bezdomności — oto ce-chy wszystkich państw kapita-listycznych. Ponad dwieście tysięcy bezdomnych dzieci i młodzieży żyje w Stanach Zjednoczonych (...) Sądy dla nieletnich, domy poprawcze wykoślawiają charakter dzie-ci — cały system środków, ja-kimi dysponuje społeczeństwo burżuazyjne nakierowany jest na zniknięcie z oczu bezdom-nych dzieci drogą ich fizycz-nej eliminacji”. Zgodnie z te-orią prof. C. Tuckera, to o co prasa sowiecka oskarżała prze-ciwnika, było dokładnie tym, co czynił rząd sowiecki.

(...) Dzieci skazywano na specjalnie zakładane dla nich obozy karne, noszące złogo-dzoną nazwę „OBOZOW PRACY DLA DZIECI”. Lecz nie tylko te „dzieci, które do-puszczwały się przestępstw były karane. W marcu 1933 r. na stacji kolejowej Połtawa spe-cjalny wagon został podcią-gnięty na boczny tor, a dzieci, które mrowiły się wokół sta-cji w poszukiwaniu jedła, zo-stały wepchnięte do wagonu

Nawet w regularnych siero-cinicach sytuacja dzieci była podobna. Jeden z urzędników Komisarjatu Edukacji opowia-dał, że po inspekcji wzorco-wego, na pokaz prowadzonego sierocinca i po obfitym, wy-danym przez kierownictwo o-biedzie, ktoś podszedł do nie-go i powiedział, że pokaże mu inne „schronisko dziecięce”. Znajdowało się ono niecałe pół kilometra od tamtego. Była to z kamienia zbudowa-na stodoła z podłogą posypa-ną piaskiem, a wewnątrz niej 200 dzieci od dwu do dwuna-stu lat, wyglądających jak szkielety poubierane w po-darte lachmany, płakało, aby dać im chleba.

— Kto zajmuje się tymi dziećmi? — spytał urzędnik. — Partia i rząd — otrzymał drwiącą odpowiedź.

(...) Nic dziwnego, że chło-pcy, którzy przeżyli ten okres w sierocinicach, a potem do-rośli, zasilili w czasie II woj-ny światowej armie, byli pier-wszymi, którzy dezertowali. Bywało jednak inaczej. Z „beprzornych”, szczególnie z ich przestępczych kręgów, rekrutowano przyszłych agen-tów NKWD. (...) Dla przykła-du, w Białowieższku, w re-jonie północnego Kaukazu, założono „kolonię dziecięcą”, z której połowę dzieci posyła-nych do szkoły, po osiągnięciu szesnastu lat kierowano do specjalnych szkół NKWD, gdzie kształcono ich na czeki-stów.

Indoktrynacja dzie-ci i młodzieży w organi-zacjach pionierów i w Komsomole jest sprawą dobrze znaną i opisaną w literaturze. Dzieci zwracały się przeciw własnemu rodzicom, na które donosiły wskazu-jąc ukrywane przez nich drobne nawet ilo-sci ziarna. Karą za to były ciężkie obozy i długoletnie więzienia. Conquest podaje kilka przykładów, z których najbardziej typowy jest ten, gdy brygada pio-

Szelgowie, czym jest dla niego i całego narodu władza radziecka. Kiedy spostrzegł, że jego ojciec okrada własność socjalistyczną, doniósł o tym NKWD.

Te indoktrynowane dzieci budzą oczywiście naszą odra-zę, choć to nie ku nim, ale ku tym, którzy wychowali je w nienawiści powinno się zwracać potępienie.

(...) Opowiadał nam starszy oficer OGPU, że już w 1932 roku wydano tajne rozkazy, aby strzelać do dzieci kradną-cych towary z wagonów ko-lejowych. Podobnie postępo-wano i w innych wypadkach, jak np. w Ośrodku Dziecię-cym w Lebiedinie, gdy sie-demdziesięciorosze-ćcioro dzieci zarażo-nych nosacizną * od koni po prostu — zastrzelono. Niektóre świadectwa wskazują też na to, że dzieci uśmiercano przez zatapianie wypełnionych nimi barek.

(...) Dysydencki uczone so-wiecki, socjolog M. Maksudow obliczył, że „nie mniej, niż trzy miliony dzieci urodzo-nych w latach 1932—34 umar-ło śmiercią głodową”. Ofiara-mi padały głównie dzieci no-wo narodzone. Do tej liczby musimy dodać ofiary „rozku-laczania”, czyli znów następ-ny milion. A już zupełnie nie-wymierne są straty wynikłe z moralnych i psychicznych o-kaleczeń.

Biorąc pod uwagę całą populację dotknię-tą „rozkułaczaniem” i klęską głodu, więc i do-rostłych, Conquest obli-cza, na podstawie so-wieckich statystyk, ilość ofiar śmiertelnych na 14,5 miliona.

Zaś jako motto jed-nego z rozdziałów swej książki przytacza słowa Chruszczowa: „Nikt (ich) nie liczył”.

Robert Conquest

oprac. i tłumaczył:

Leszek Elektorowicz

Maria Bujańska jest autorką dwóch zbiorów opowiadań i tomu wierszy „Biała plama” (Wydawnictwo Literackie). W druku znajduje się jej nowy zbiór poezji „Muzeum Zatrzymanego Ruchu”. Od 1980 roku Maria Bujańska mieszka w Londynie, gdzie z powodzeniem, oprócz literatury, uprawia także muzykę, jest bowiem utalentowaną pianistką.

KLESZCZE

(fragment większej całości)

Maria Bujańska

Babcia modliła się w piątki.
— Modiany lafyneju, modiany lafyneju...
Jej słowa zapalały się jak tłące się węgliki i gasły, aby zapalić się znów. Babcia modliła się w kuchni, w zielonej chustce na głowie. Bogini świętych modlitw, bogini nieskończonego wiatru...
Przerażały mnie jej modlitwy. Były obce, wkraczały w moje życie obcasami odrębności. Matka pozwalała jej na te gesty, uciekając z jej świętego ogrodu. Kuchnia, sanktuarium Boga.
Po skończonej modlitwie babcia, nawiedzona, zamierała w pozie pajaka. Wila swoją pajęczynę, z dala od nas, opatulona welnianym szalem.
Ojciec odgradał się jak mógł od modlitw babki.
Była dla niego intruzem wkraczającym w jego duchowy świat.
Ojciec... do dzisiejszego dnia nie wiem kim był ojciec, zasłuchany w swoje słowa, zasłuchany w swój rytm serca.
Nie czułem się dobrze w naszym domu, o tym wiedziałam od początku. W swoim granatowym chalacie przemyciał się jak zagubione zwierzę. Babcia wdychała aromat dnia, wychwytywała cuda, obwijała w bawełnę myśli. Matka wila się po domu, godząc trzy różne światy, reperowała nasze dusze, przyglądała się naszym wzlotom i upadkom.
Myślę teraz, że od czasu do czasu zakwitła Kleopatry, Ofelię, Maszę z „Trzech sióstr” Czechowa, zakwitła swoim własnym światłem...
Była zmęczona. Mając na karku diagram swojego życia, ojca cień, może Króla Duchy z „Hamleta”, moją lalkę przekory, buntu.
Matka, wijąca się jak zaskroniec w naszym domu, w naszej twierdzy modlitw w trzech różnych językach.
Jeszcze inną była moja modlitwa... Nie znałam słów, modelowałam dopiero znaki, uczyłam się samogłosek, przedstawiałam gwiazdy na niebie...
A jednak klęczałam • zmroku, na przekór mamie i babci, nauczona przez dziadka odmawiałam „Ojcze nasz”, dążyłam do afirmacji mojego istnienia, chciałam przyjąć owoc biblij.
Sny, które mnie nawiedzały były okrutne.
Niemcy, mój bieżący strach smagał mnie mocno po słabych plecach.
Niemcy głównie przesiadywali na lampach. Szczególnie upodobał sobie miejsce w żyrandolu, w dużym pokoju.
Słowo gestapo przerażało mnie. Zarówki ze swastyką na szkle oslepiły moje sny. Matka zakrywała je różową bibułą.
Znowu byłam bezpieczna. Oczy Niemców znikły, pojawiały się lalki, przedmioty. A jednak świat wciąż nosił swoje okrucieństwo, może w czerwonym plecaku, może w skórzanym walizce. Naprzeciwko nas działał się „rzecz”.
Nikt nie ośmielił się wymówić co się działo w budynku naprzeciwko nas, ale ja wiedziałam. Mężczyźni w pasiach maszerowali przed moimi oczami. „To niemieccy jeńcy” — szeptało dookoła. Posłuszne ciała, trochę pochylone. Spacer dookoła skweru. Pewnego razu, kiedy wyglądałam przez okno zobaczyłam coś, czego nie mogłam zapomnieć przez lata. Z ostatniego piętra budynku naprzeciwko, skłębione ciało, pocisk czarno-biały runął na chodnik.
Nie słyszałam głosu upadającego ciała. Zobaczyłam nagle wiatrak — białoczerwony parasol, który zarył w ziemię, zamieniając się w czerwoną plamę.
Codziennie • piątek przychodził do nas dziadek (ojciec ojca).
Matka parzyła herbatę, kroїła ciasto. Podziwiałam dziadka... Był mały wzrostem, legenda rodzinna głosiła, iż będąc szkrabem, na żydowskim targu ciągnął chłopców za pejsy. Podobno przekupki przekleły go...
„Ty kłajner kucyk, żebyś ty nigdy nie urosł...”
Dziadek rzeczywiście był mały. Ubrany w szary, może czarny garnitur, niebaganny, mikroskopijny wymiaru. Dziadek uczył mnie czasu, śmierci, umierania...
„Człowiek nie musi nie, człowiek musi tylko umrzeć”.
Jakże bałam się tych słów... Dziadek wyjmował wtedy z kieszonki zegarek, otwierał jego kopertę, rzymskie cyfry tajemniczo wybijały sekundy, minuty.
„Popychamy czas ku śmierci” — mówił dziadek i nakręcał zegarek. Nakręcanie zegarka było dla mnie obrzędem. Tik — tak, tik — tak, było w uszy bezpieczeństwem, rozkazem. Tik — tak, słabe zrazu powoli wzmacniało swój werbel. Czas stał się dla mnie najważniejszym elementem życia.
Harmonogram ranka — parzenie kawy, znikanie rodziców...
Swiat babki, jej ciepłych, pulchnych rąk, jej utykanie, świszczący oddech (miała astmę), jej drewniane staromodne łóżko (obok mojego).
Jej świat hebrajskich ksiąg, biblii, zakłety krag starości. Całe rano trwała krzątanina babki. Uczyla się przedmiotów w zasięgu jej dłoni. Uczyla się nieco spleśniałego zapachu jej ciała, jej synkopicznego dreptania. Żyłam w tej klaustrofobii, świat zewnętrzny na razie nie interesował mnie. Niemieckie książki (zapewne pozostałość po niemieckiej rodzinie), widelce i noże ze swastykami, zniszczone meble, kilka zmacnianych lalek... Babcia opowiadała mi o cyrku „Pod wodą”, albo o Mojżesz, albo o dwóch najważniejszych historiach z opowieści babki. Nie wiem, która fascynowała mnie bardziej.
„To może • Mojżesz” — mówiła babka i rozpoczynała swoją długą opowieść. Wcześniej nauczyłam się starości, jej rytur. Bałam się młodości, jej zbyt gwałtownych ruchów, podniesionego głosu. Bałam się kłótni moich rodziców, wygrażających pięści, rozmów o pieniądzu.
Ten świat dla mnie jeszcze nie istniał, broniłam się przed realiami życia, wołałam podania, legendy, świat o uporządkowanym harmonogramie dnia, słabych głosach, rzeżącym oddechu.
I nagle zjawili się teatry. Obcy świat zamknięty na żelazne wrota. Znalazłam się w nim nieśmiało, dziewczynka z warkoczami wyjęta ze starczego panopticonu. Teatr, słowo magiczne prześladowało mnie od dawna.
Pewnego dnia matka zabrała mnie na próbę.
„Będziesz się nudzić” — powiedziała. Siedziałam cichutko w rogu sali. Aktorzy czytali swoje teksty. Był to chyba „Pigmaliion”. Wciąż pamiętam głosy, pamiętam ludzkie sylwetki przeistoczone z larw aktorów. Pamiętam reżysera dyrygującego paleczką zaczerpniętym misterium. Będę aktorką! Postanowiłam natychmiast. Będę recytować monolog z księgi, złotej księgi, przebiegać się w długie suknie, a w przerwie jeść przepyszne kanapki u pani Alicji. Teatr skończył mi do gardła. Teatr to zapach, wdech, wszystkie moje zmysły grawitowały w kierunku kurtyny, długich sukni, recytacji słowa...
„Mamo, jak dorosnę, zostanę aktorką”. Będę więc naszyjnik słów, rozgrzany mi palcami wbił szminkę w moją twarz... Będę przeistaczać się jak kameleon w słowa, słowa, słowa...

Słowa biegły przez ścieżki, pola i wymykały się z mojego świata niebieskiego pokoju, pokonywały nawet babcię...
Matka zabierała mnie na próby często, jednak broniła mnie przed teatralną wizją.
„To ciężkie życie” — mawiała — „Ciężki kawałek chleba”.
Matka pragnęła dla mnie Specjalnego Losu. Nie znałam opinii ojca na ten temat. Ojciec oświecał mój los inną latarnią. (...)
Ojciec był dla mnie czarodziejem życia. Przeistaczał nudne, ruchliwe ulice w zaczerpniętą świetlistą bajkę. Po powrocie z naszych eskapad nie mogłam długo spać. Ciągłe słyszałam w uszach zaczerpniętą pieśń świata kreowanego przez ojca. Świata kolorowych liter, świata nieustającej radości.
Moimi ścieżkami wyboru, moją dziecienną wspinaczką była „Góra”. W każdą niedzielę o siódmej dana mi była wizyta u ciotki. Ciotka była jeszcze młodsza od dziadka, w wieku lat sześciu dorastałam jej do ramienia. O twarzy krasnoludka, o nóżkach dziecięcej baletnicy. Z biciem serca wkraczałam w obcy świat kredensów o findesieciowym wdzięku, szaf z książkami wyrzeźbionych winogron, kielichów cudów, domów lalek, fotografii w brązowym kolorze.
Piłam czekoladę ze starej, posrebrzanej filiżanki (wenecka porcelana). Kosztowałam frymuśnych ciasteczek w kształcie księżycy. Słuchałam okrutnych bajek Grimma w różowej, płóciennej oprawie. Ciotka była encyklopedią wiedzy o rodzinie. Wiedziała o wszystkim co dotyczy naszego drzewa genealogicznego, siatki południków, równoleżników. Uczestniczyłam w jej ceremoniach ku czci picia herbaty, ku czci świąt. Otwierała zardzewiałym kluczem świat legendy. Małymi, dziecięcymi rączkami wskazywała mi kierunek, była dla mnie ikoną prawdy, źródłem fantazji.
Świat mchu, świat wrzosów o fioletowym odcieniu, świat zegarów, świat miłości w zamkowej oprawie, świat pieśni, świat kwitnącego kaktusa...
Czy terazniejszość była silniejsza? Bila bębniem, wybijała tętno życia. Świat z okien, biała kurtyna dnia. Jak koń z kłopotami na oczach wędrowałam wąską drożką mojej wyobraźni na opak, na opak życiu tętniącemu jaskrawym kolorem. Ciotka odgradała mnie kojcem. Kojcem zielonego mitu o życiu, kojcem aksamitnego puchu... Czulałam się bezpieczna w zasięgu jej lilipucie twarzy, dzieciennych rąk.
Wizyty u ciotki nie trwały długo. O ósmej mój budzik wzywał mnie do zejścia na dół do sanktuarium babki.
Czulałam się wielbłądem wielogarnym. Bogactwo przeżyć odejmował mi sen. Do drugiej w nocy myślałam o bajkach Grimma, nakręcałam nie istniejące zegary śmierci, chrupałam przepyszne księżycy wypieku, huśtałam się na huśtawce czasu.
Matka przychodziła powiedzieć mi dobranoc.
„Miałś dzisiaj dobry dzień, córeczko?”
Dzień, bratków, dzień natury, dzień wrzosa, dzień poezji.
Teatr zaczął wypełniać wszystkie moje myśli, wskakiwał na pierwsze strony mojego życia. Teatrem dla mnie były wesela i pogrzeby, narodziny i śmierć. Kiedyś, zabrana przez rodziców na pogrzeb znanego aktora powiedziałam głośno ko zażenowaniu wszystkich: „Piękne to przedstawienie, ale bardzo smutne”. A kiedy zjawili się grabarze, aby zakopać trumnę, wykrzyknęłam: „Maszynisty przyszli!”
Kurtyna była dla mnie wyznacznikiem dnia i nocy, przecinkiem, kropką, wykrzyknikiem... Kreowała teatr w każdej postaci. Moje szmaciane lalki były aktorkami... nawet babcia nie była prawdziwą babcią, ale babcią odtwarzającą modły w teatrze — misterium. Brakowało tylko kadzidła i mirry, brakowało szminki i różu na policzkach. (...)
Wponiedziałki matka miała wolne. Zmęczony teatr odpoczywał, przepoczone dekoracje oddychały pełną pierśią. Aktorzy zdejmowali swoje maski, na jeden dzień zamieniali się w zwykłych ludzi. W poniedziałki moja matka zajmowała się mną. Spragniona macierzyństwa zaspokajała wszystkie moje pragnienia. Dogadzała mi, pieściła, brała mnie na długie spacery do parku Krakowskiego, Jordana. Zezwalała mi na krnąbrność, upór...
Matka często opowiadała mi o wojnie.
„O mały włos, a wszyscy bylibyśmy zginęli”.
Szukałam małego włoska na jej głowie... na próżno, wszystkie były długie...
„Zasypano nas trzy razy” — wdychała matka.
„Wyszliśmy z Warszawy nadzy i bosi”.
Wyobrażałam sobie nas bez butów, ale bez ubrania ani rusz, szczególnie — babci z jej wielkim, wyduętym brzuchem.
„A ty byłaś małym brzydkim brzdącem... czy cucić? — pytano mnie przy porodzie”.
Matka wdychała. Wtaczała mi do głowy okropności wojny, nasze zbombardowane mieszkanie na Saskiej Kępie, nasz strach.
Babcia udawała głuchoniemą, jej język polski nabawił się jidysz, kulał i podpierał się białą laską.
„A jednak przeżyliśmy”, znowu wdychała matka, przypominając obóz przejściowy w Pruszkowie, chłopów, którzy dali nam mleko i pożywienie.
W czasie wojny matka sprzedawała mydła w kawiarni. Nie mogłam sobie wyobrazić Kleopatry sprzedającej mydła, ale wiedziałam, że to prawda, matka nigdy nie kłamała.
„Czy jestem Żydówką?” — pytałam zaniepokojona.
Koślawy język babki, jej piątkowe modlitwy, jej koszerne jedzenie.
Matka nie dawała mi odpowiedzi na moje pytanie.
Wiedziałam, że podczas wojny palono Żydów w piecach...
Babcia paliła w ziemi drzewo w dużym, kuchennym piecu. Ale Żydów..., trudno to było mi sobie wyobrazić.
„O mały włos, a my byśmy też...”.
Jakie to szczęście, że miałyśmy długie włosy, dziękowałam Bogu i dalej wsłuchiwałam się w matczyne opowieści.
Ojciec w powstaniu, przestrelony beret ojca, pokazywał mi go bardzo często. Wizyty gestapo w naszym mieszkaniu. Babka ani me, ani be, matka trzęsąca się z trudem pokonywała przerażenie i płacz.
„A jednak żyjemy, szczęśliwie żyjemy” — kwitowała opowieść matka.
„Przeżyliśmy dzięki Polakom”.
Ja czulałam się Polką, nie znałam żadnego innego języka poza polskim, nie słyszałam jeszcze o pogromach, prześladowaniach...
„Przeżyliśmy jednak...” — powtarzałam cichutko, żegnając się (nauka dziadka).
Matka powtarzała historie wojenne bardzo często, za każdym razem dodając nowy szczegół.
Babcia w getcie... daleka, modląca się, czekająca na śmierć...
Powtarzałam słowo getto. Pejsaci Żydzi, ich żony, ich dzieci, za murem strachu. Żółte gwiazdy na czołach, żółte gwiazdy na ustach... Trzeba było przekakiwać ciała, nakryte gazetami...
Modiany lafyneju... modlitwa babci pnie się po murze...
Więc ciągle nie wiedziałam, kim jestem, Polką, czy Żydówką...
Linia demarkacyjna była bardzo wąska i krucha. Kościoły, ołtarze były mi dużo bliższe niż synagoga, obca kształtem i nastrojem.
Witraże kościelne wydawały światło, które wchłaniałam przez soczewki mojego wzroku. Obca synagoga była mi gniewem mojego Boga, gasiła siedmioramiennie świeczniki, uciekała daleko z obrazów Gotlieba.
A jednak świat babki iluminował niezmiernie piękno, którego nie mogłam uchwycić. Groził i przerażał swoimi katastroficznymi wierzeniami, kielkował w moim mózgu wyobraźnię.
Dziadek ofiarowywał mi swój świat wierzeń w bledszej aureoli barw, mimo to kuślił mnie krzyżami, kapliczkami, lacrima Christi, pokutą, zmartwychwstaniem... Ugięłam się pod brzemieniem kolorowych pasm religii, przecinających się w świetle mojego równika, obwieszających smutek, obwieszających spokój.
Gdzie jest Bóg?
Widziałam go w donicy bluszczu... interesowało mnie pytanie, czy Bóg myje zęby po jedzeniu, czy opiekuje się zapłakanymi dziećmi... Czy umiera? Czy jak krasnoludek żyje w nieskończoność? Jaki jest żydowski Jahwe, czy katolicki Bóg, zawiązujący sznurowadło czasu?
Kto mi miał dać odpowiedź na moje pytania?
I babka i dziadek każde z nich ciągnęło mnie w swoją stronę wierzeń, modlitw...

Spróbujmy wyobrazić sobie taki dialog: — Polacy to antysemitami!

— Istotnie, są antysemitami.
— Ogromna większość.
— Rzeczywiście, ogromna większość.

— Są więc współwinni holocaustu, byli jego radosnymi świadkami.

— W rzeczy samej, są pomocnikami śmierci, co zresztą napisał jeden z poetów. Oświęcim, Majdanek i Treblinka, nieprzypadkowo zlokalizowano w Polsce, co napisał jeden z esecistów...

Czy tak masz mówić, jeśli chcesz uniknąć najgorszego, to jest podsądzenia o antysemityzm zamaskowany? Gdyż, jak wiadomo, tylko przewrotnie zamaskowany antysemityzm powiada, że, choć niektórzy Polacy to antysemitami, ale jest także bardzo wielu normalnych, tylko on utrzymuje, że w Generalnej Guberni, mimo groźnej za to kary śmierci, Żydom pomagała znacząca część naszego społeczeństwa. Wygłaszając podobne opinie, czyżbyś rzeczywiście siadał do jednego wózka co najmniej z Romanem Dmowskim i Bolesławem Piaseckim, o ile nie z Eichmannem i Willim Stophem?

Na pytanie oskarżyciela nie ma zatem odpowiedzi cieniowanej, tak, ale... tak, w jakimś stopniu... — jest tylko szczere przyznanie, żeśmy z mlekiem matki wysłali bez ratunku antysemityzm? Jest to bowiem pytanie eschatologiczne: zgrzeszyłeś? — Zgrzeszyłem, moja bardzo wielka wina. Próba rąkania zjawisku skromniejszych proporcji (zgrzeszyłem, ale nie bardzo) poczytana byłaby za zatwardziałość osobnika odmawiającego skruchy na łóżu śmierci. A czy biedny chrześcijanin patrząc na getto ośmielił się utrzymywać, iż jest bez grzechu, iż zawsze udzielił wystarczającej pomocy, iż krew ich nie spada na głowę jego? Zderzają się tu bowiem dwa absoluty. Absolut zła (antysemityzm) i Absolut dobra. Albo — albo, czarne i białe, piekło i niebo.

Może jednak Żydzi mają prawo być nerwowi, skoro wymordowano połowę tego narodu? Może mają prawo reagować histerią i przeczuleniem, awanturując się na równi o rzeczy ważne i o śmieszne drobniaki, bo holocaust zaczął się też od niby niewinnych pomysłów paru sfrustrowanych intelektualistów, szydzących z Ieka i jego pejsów? Czy wystarczy argumentować, że w dziejach ludzkości szaleństw holocaust nie jest niestety wyjątkiem? Turcy w 1917 wymordowali tępych nożami półtora miliona Ormian. Stalin zagłodził 6 czy 7 milionów Ukraińców. Pol-Pot, czy inny egzotyczny ludożerca w Trzecim Świecie mógłby poszczycić się porównywalnymi osiągnięciami. — Nie mówiąc już o Cyganach palonych w Oświęcimiu na równi z Żydami.

Z tego wszystkiego wynika jednak tylko gorzka nauka, że człowiek „zawsze i wszędzie” zdolny bywa do zbrodni. A przy tym, iż owe nieszczęsne narody, Żydzi, Ormianie, Ukraińcy, Cyganie, Kambodżanie, mają wszystkie, prawo reagować nerwowo na najmniejszą oznakę niechęci. Wszystkie są bowiem wyjątkowo nieszczęśliwe. Tyle że dopominanie się pierwszeństwa wśród prześladowanych prowadzi donikąd. Polacy także ubiegali się o

pierwszeństwo wśród skrzywdzonych

choć wymordowano ich liczbowo i procentowo znacznie mniej niż Żydów, a nawet Ukraińców.

Czyżby więc namawiał Żydów do pogodnego uśmiechu i chasydzkiej zyczliwości względem świata raczej niż do upartego żądania rozliczeń z każdego próżnego słowa, myśli i czynu „biednych chrześcijan”, rzeczywiście często głupich, a czasem zbrodniczych „pomocników śmierci”? Jeśli jednak dążymy do pojednania różnych narodowych czy religijnych wspólnot w ramach rodziny ludzkiej, to może za przewodniczką byłaby chęć rzućcia kogokolwiek na kolana, zmuszenia go, aby się tarzał w prochu i bil w pierś, zwłaszcza że większość konkretnych winowajców dawno już stoi przed trybunałem sprawiedliwszym niż nasz, ludzki? Natomiast pretensje, które pozostały, choć zrodzone z krzywd rzeczywistych, dzisiaj trafiają już zazwyczaj w kogo innego i dlatego odbierane są jako niesłuszne.

Kompleksy polsko — żydowskie

Jan Prokop



Bolesław Cybis — „Żyd” (ok. 1925, olej)

Tak, wielu Polaków ma wciąż pretensje do Niemców. O Oświęcim czy Dachau, podczas gdy dzisiejsi Niemcy po prostu biologicznie są to już inni Niemcy, w czasie wojny bawili się w piasku albo urodzili się dwadzieścia lat później. Nasze pretensje wywołują więc reakcję obronną u zaatakowanego, tym silniejszą, im niesprawiedliwiej został zaatakowany, skoro jest osobiście niewinny. Zamiast upaść na kolana, odpowiada kontragresją. Tym trybem spór nie skończy się nigdy...

Natychmiast, jeśli chcemy nie tyle osobistej satysfakcji (moje na wierzchu), ile pojednania, przestańmy się oskarżać. Kiedyś Singer powiedział, że Żydzi i Polacy było to niedobre małżeństwo, które się rozwiodło. Dość trudno rozróżnić rące w takim konflikcie. Zapewne obie strony jakoś „zawiniły”. Gotów jestem przyznać, że Polacy, strona silniejsza, ponoszą większą winę, cięższa na nich spada odpowiedzialność wobec słabszego. Ale może nie warto z masochistycznym i sadystycznym upodobaniem wracać do krzywd minionych, obrzucać się oskarżeniami — wet za wet — nie uwzględniając okoliczności łagodzących po obu stronach.

Niemal każdy Żyd mieszkający w Polsce a także wielu Polaków pochodzenia żydowskiego zetknęło się raz czy wiele razy z pogardą, jeśli nie wprost z agresją. Okazywaną im przez niektórych „prawdziwych Polaków”. Takie doświadczenie odkłada się w pamięci źle gojącą raną. Rozumiem, jak trudno apelować do ludzi, którzy niesprawiedliwie doznali obelgi, aby umieli

powstrzymać się od uogólnień.

Aby potrafili nie przenosić na całą zbiorowość krzywd zadanych przez jednostki, nawet liczne. Aby oprócz zła, które im wyrządzono, umieli za-

pamiętać także dobro, które ich także spotkało, bowiem ci, co ocalili, ocalili zazwyczaj dzięki pomocy z „aryjskiej” strony. Choć każdy z nas, niestety, łatwiej i chętniej pamięta wyrządzone mu zło...

Czy wolno jednak powtórzyć wezwanie tylekroć w ostatnich latach w tym kraju przywoływane, aby zło dobrem zwyciężało? Czy wolno prosić braci Żydów o wielką ofiarę — o to, aby przebaczyli nam, aby obok krzywd od nas doznanych, pamiętali także dobro? Doznali bowiem od nas także dobra, podobnie jak my w ciągu wieków wspólnego zamieszkania na tych ziemiach doznaliśmy od nich wiele dobra, nasza kultura, nasza literatura, nasza nauka zawdzięczają im więcej niż innym narodom, podobnie jak ich kultura i ich obyczaje wiele zaczerpnęły od nas. Całe polacie polskiej przeszłości są bez wkładu Żydów niezrozumiałe, byli jej częścią, nadali jej kształt i barwę, kształt i barwę wspólnego naszego domu. Niektórzy zapuścili tu korzenie stając się Polakami, wielkimi patriotami polskimi, niektórzy wędrowali daleko, niektórzy zostali na tej ziemi zabici, ale chyba lepiej, aby połączyła nas wspólna pamięć, wspólna radość i wspólna żaloba niż wzajemne żale i nienawiść — zabójcza i dla nas, i dla nich.

Sztuka rozumienia się to nie tyle dawanie upustu własnym urazom i kompleksom ale przede wszystkim rozumienie się ze względu na rzecz, o którą idzie. Abyśmy zgodnie zbliżali się do niej choć przychodzimy z różnych miejsc. Idzie więc nie tyle o wyświechtanie mniej lub bardziej mrocznych zakamarków naszej duszy, ile o wyzwolenie się z obciążenia przeszłości. Nie jestem tu pesymistą, po stronie żydowskiej i po stronie polskiej przybywa ludzi, którzy w imię wspólnego celu unieją na wadze win i zasług przeważać zło dobrem w nadziei, że

dobro zwycięży. Są także gotowi ustępować po obu stronach, bo, jak mówił stary Żyd z Podkarpacia, najniebezpieczniejsi bywają ci, co sądzą, że słuszość jest całkowicie i wyłącznie z nimi.

Nalóżmy zatem embargo na wzajemne pretensje?

Pomyślmy o tym, co łączy

a także poznajmy się wzajemnie, Polacy wiedzą tak mało o ludziach, którzy mieszkali razem z nimi przez wieki na tej samej ziemi, wytworzyli tu bogatą kulturę, rozwinęli szczególną pobożność i życie duchowe. Potrzeba tej wiedzy jest ogromna i żywo odczuwana, niedawny festiwal kultury żydowskiej w Krakowie pokazał to dowodnie, szkoda że pamięta się o tym znacznie mniej niż o antysemitkich napisach, które na murze umieszcza ręka chuligana.

Dlatego też każda kolejna dyskusja o polskim antysemityzmie (także ta 14 grudnia 1990 w Tygodniku „Solidarność”) raczej rozjaśnia obie strony, niż prowadzi do zabliznienia rany. Myślę, że znacznie sensowniejsza jest tu np. działalność ośrodka oxfordzkiego po prostu wspierającego badania na temat Żydów w Polsce, prowadzą one do lepszego poznania obu stron, pozabawiają wzajemne stosunki owego piętna emocjonalnego, gdy pragnie się rzucić na kolana przeciwnika, pograć go i upokorzyć. Skłonni do tego są zarówno Polacy („przecież Żydzi stanowili główny trzon Urzędu Bezpieczeństwa, to, oni komunizowali polską kulturę”). Choć pierwszym współtwórcą komunistycznego systemu policyjnego był dobry polski szlachcic i „aryjczyk” czystej krwi, Feliks Dzierżyński jak i Żydzi („w Polsce można być antysemitą i porządnym człowiekiem” — tzn. u nas opinia publiczna inaczej niż np. we Francji akceptuje antysemityzm, co jest równie prawdziwe, jak teza, że u nas opinia publiczna akceptuje, gdy ojciec-piak maltretuje rodzinę).

Obserwując liczne dyskusje na temat polskiego antysemityzmu nie całkiem jestem pewien, czy ich uczestnikom idzie o likwidację samego problemu, rzeczywiście istniejącego i zasługującego na jasne potępienie, czy o niby psychoterapie to jest dokonanie przeciwnikowi i wyładowanie osobistych urazów („mnie pobił w szkole Polak!”, „a mnie pobił na UB Żyd!”). Taka pseudokatharsis prowadzi do utrwalenia wrogości gdyż obie strony pozostają przy swoich. Tymczasem pedagogiczna wiedza, że jeśli chcemy wyciszyć agresję zamiast gromić i potępiać, lepiej jest pochwalić: — prawda, Stasiu, że już nie tłuczysz Kazia? — Przypominanie Stasiowi na każdym kroku, że był, jest i z pewnością będzie zakamieniałym chuliganem, nie uleczy go nigdy...

Zapiekła pamięć prawdziwych, ale czasem także i wymagowanych lub ponad miarę wyolbrzymionych krzywd prowadzi do nerwicy roszczeniowej, prośba o wybaczenie wywołuje wtedy tylko eskalację pretensji, a nie zakończenie waśni

Proponuję tedy na dłuższy czas zamrożenie tego tematu: niech Żydzi zapomną o polskim antysemityzmie, jest bowiem godzien wzgardy (lub postępowania karnego przed sądem!), nie zaś nagłośniania na każdym kroku, — Polacy za to, niech zapomną, że Żydzi wypominają im antysemityzm. Nie ekscytujmy się nawzajem. Natomiast za podżeganie do nienawiści rasowej, winny karać zgodnie z prawem sądy Rzeczypospolitej.

Stan grafomanii i śmierć intelektu

Marta Wyka

Pierwsze wydanie „Książek najgorszych” Stanisława Barańczaka ukazało się w momencie dla literatury mało przychylnym: było tuż po stanie wojennym i rzecz wydawała się jakby nie na czasie. Teksty, które się na nią złożyły, autor publikował już wcześniej w „Studencie”, ale nie w tym problem. Pamfletowa poetyka, a więc drwina, śmiech i groteska jako broń krytyczna, zdawały się trochę nie na miejscu w tej konkretnej chwili dziejowej, nasyconej retoryką patosu i odpowiedzialności zbiorowej. Nie jest to akurat moja ówczesna opinia, ale myślę, że „Książki najgorsze” nie zostały wtedy przyjęte tak, jak na to zasługiwały. Albo też zaryzykować wolno inne twierdzenie: nie doceniono ich demaskatorskiej funkcji, ponieważ zwykło się na ogół sądzić, iż pamflet jest zabawą okrutną co prawda, lecz bez konsekwencji poznawczych. W obecnym wydaniu autor zmienił tytuł (dodał „parę innych ekscesów krytycznoliterackich”), w Aneksie zaś pomieścił teksty późniejsze, w tym znakomite „Samobójstwo sandauerizmu” i zupełnie nowe „Wymioty Woltera” (drukowane po polsku w ostatnich „Zeszytach Literackich”).

Czy mam rację, pisząc o nie docenianiu? Spróbujmy jeszcze inaczej. Sam Barańczak pisze we wstępie, iż jego „najgorsze książki” należą już do historycznej przeszłości PRL-owskiej i oczywiście do grafomańskiej produkcji tej epoki. Wydaje się, iż tylko ta epoka mogła wymanowić z siebie grafomanię równie, aby tak rzec, dwulicową. Górnicki, Sokorski, Kabat, a nawet Misiorny uważali się zapewne za pisarzy i dziennikarzy, i do głowy im nie przyszło, że propaganda, którą uprawiają, nie ma nic wspólnego z literaturą. Do głowy im też nie przyszło — a co gorsza również wydawnictwom, które ich dzieła publikowały — iż należy spełniać jakieś profesjonalne kryteria, aby zostać literatem. Fakt, iż książki te

ujrzały światło dzienne świadczą o zastanawiającym dobrym samopoczuciu urzędników od kultury oraz samych działaczy pióra. Dzisiaj ten stan absolutnej pewności siebie budzi osłupienie. Jest niewatpliwie — bo Barańczak to znakomicie pokazuje — iż nikt i w żadnym momencie powstawania dzieła nie poprawiał go, ba, nawet nie czytał po postawieniu finalnej kropki, że chaotyczny i mętny pomysł był realizowany z pogodną determinacją (aby skończyć), i absolutnie niezrozumiałą dziś dla nas pychą. Zapewne, pycha jest stanem i analizować jej nie sposób. Podobnie grafomania jest stanem i przerwać go może tylko gwałtowny wstrząs. Tutaj wstrząs przyszedł z zewnątrz i cały ten kulturowy stupor rozpadł się w okamgnieniu. Należałoby zresztą rozróżnić dwie sprawy. Nie zniknęło zapewne masowe zapotrzebowanie na podobną literaturę, nie ludzimy się. To tylko my, profesjonaliści, drżymy z obrzydzenia na dźwięk nazwiska Zeydler-Zborowskiego, czy Machejka. Czytając rzesza nie miałaby zapewne nie przeciwko wznowieniu ich książek. W tych wielkich nakładach, żaden poniżej 100 tysięcy! W tym momencie dopiero rysuje się cyniczny aspekt wydawniczych przedsięwzięć. Zarzucić księgarnie Górnickim, Sokorskim, Gaworskim — oto macie wielki świat, erotykę i sensację, i nie więcej nie jest wam do szczęścia potrzebne. Sterowana głupota mogła być skuteczna, ale przecież nie wykupywano masowo Gaworskiego, lecz ustawiano się w kolejkach po Białoszewskiego i Miłosza. Zatem ramię propagandy nie mierzyło celnie, a raczej na oślep.

Refleksje te, dosyć oczywiste, są poważną konsekwencją lektury Barańczaka. Ale oprócz owego stymulowania refleksji książka ta spełnia inną funkcję, równie ważną: jej celny śmiech potęguje karykaturalną z natury zawartość omawianych tytułów, bo-

wiem Barańczak jest mistrzem parodii i pamfletu. Nie będę snuć dalej tego wątku, ponieważ śmiesznie jest opisywać, jak ktoś wyśmiewa pewne bardzo głupie książki.

Natomiast zatrzymam się przez chwilę przy jednym ekscesie krytycznym: „Samobójstwo sandauerizmu”. Myślę bowiem, iż przypadek Artura Sandauera, tak wnikliwie przez Barańczaka zanalizowany, jest zarówno diagnozą pewnych sposobów autodestrukcji, spowodowanej przez okoliczności, jak ostrzeżeniem na przyszłość. Krytyczny talent Sandauera został zdeprawowany, ponieważ jego posiadacz, kryjąc to skrzętnie, godził się na warunki, jakie dyktowała mu pewna rzeczywistość. Czynniki to w sposób niejawni, ale Barańczak trafnie pokazuje, jak sprawdzona w PRL metoda „czarne — białe”, a także swisty terror dialektyczny, odciśnięty się na stylu budowlu krytycznej wznoszonej przez Sandauera. Początki Sandauera były znakomite i Barańczak to poświadcza: „Jako student polonistyki w latach 60. żyłem, jak chyba wszyscy, w aurze osobliwego kultu Sandauera: można się było z nim nie zgadzać, nie można było nie mieć dla niego podziwu; jego szkice o Gombrowiczu, Schulzu, Leśmianie, Tuwimie, Przybosi czy Białoszewskim należały do żelaznego kanonu krytyki współczesnej, traktowano je jako wzór dociekliwej interpretacji i estetycznego kunsztu...”

Niedostrzegalny początkowo gołym okiem upadek Sandauera rozpoczął się od drobnych przeinaczeń, przekręceń cytatów, pomijaniu publikacji na ten sam temat, który on podjął w celu zapewnienia sobie merytorycznego pierwszeństwa i jedynej słuszości, potem zaś nadchodziło stopniowo swoiste pieniacstwo krytyczne, które można nazwać również mitologizacją, nieustanną repetycją własnych odkrywczych tez, tworząca w

sumie bardzo szczególną atmosferę umysłową. Barańczak powiada tak: „Kto jednak patrzy głębiej, ten zmuszony będzie również zrozumieć kapitalny problem sandauerizmu jako «duchowej formy życia», sandauerizmu jako formacji umysłowej, sandauerizmu jako postawy moralnej, sandauerizmu jako przedziwnego zjawiska, w którym metoda stoi, wbrew pozorom, w najzupełniejszej sprzeczności z legendą”.

I dalej Barańczak konsekwentnie wydobywa na światło dzienne zakłamanie metodologiczne Sandauera. Ciekawych odsyłam do jego tekstu. Sama zaś zastanawiam się nad dręczącym mnie pytaniem: jak była możliwa taka duchowa forma życia, jeśli potraktować ją szerzej — jako znak czasów? Sandauer przekręca cytaty z Rudnickiego; bo chce pognębić i ośmieszyć tego pisarza; przypisuje wtórność czy nawet plagiatstwo niektórym wierszom Herberta; nie cofa się przed insynuacją. Słowem, postępuje tak, jak mu wygodnie, czyni to zaś z paru powodów. Najpierw chce utwierdzić własną legendę. Potem chce nagiąć literaturę współczesną do swoich o niej wyobrażeń. Następnie zabiega o to, aby nikt nie miał wątpliwości, po czyjej stronie leży racja: krytyka, czy obiektu i przedmiotu jego działań, pisarza. Ustalać taką hierarchię, wedle której pisarz zawsze występuje w pozycji słabszej, jest w gruncie rzeczy przeciwnikiem ustawionym strategicznie już to do bicia, już to do głaskania. Sandauer odwzorowywał pewne hierarchie istniejące w życiu politycznym. Być może na początku nie czynił tego świadomie, niemniej pod tym kątem postrzegana jego aktywność krytyczna zawiera dynamiczne zadatki na akces do owej słynnej zupy, którą spożywał w jednostkach wojskowych w okresie stanu wojennego, wraz z innymi kolegami po piórze i autorytecie. Sandauer bowiem w głębi duszy uznawał przede wszystkim merytoryczną funkcjonalność katofskich podziałów. Obraz smutnego końca Sandauera — Katona dedykuję naszym Katonom współczesnym (a są już tacy, niestety), aby jasno zobaczyli, do czego doprowadzić

może ferowanie dialektycznych wyroków.

Barańczak tak opisuje finał sandauerizmu: „Jeśli przyjąć, że zakłamanie zabija intelekt, Artur Sandauer, jak nowy Mitrydates, przyjmując coraz większe dawki zakłamania, uodpornił się na zatrucie jako człowiek, przy okazji jednak uśmiercił własną umysłowość. Nastąpił ostateczny etap sandauerizmu — metody i sandauerizmu — legendy: publiczne samobójstwo”.

Śmierć umysłu przez indoktrynację, gorzej jeszcze przez jej wydanie autorskie! Ale korzenie tego zakłamania tkwiły też poza Sandauerem, i tutaj chciałoby się postawić jeszcze jedno pytanie proste: ile umysłów zostało zatrutych w podobny sposób, na planie ogólniejszym? Skoro chwyt samozakłamania jest dozwolony (bo skuteczny), dlaczego nie skorzystać z jego dobrodziejstw? Takich jak pozycja pierwszego krytyka, pierwszego poety czy prozaika? Mniemane lata stwarzały tę amoralną pożywkę dla wielu talentów, które uległy wypaczeniom, skrzywieniom, uległy wreszcie własnej próżności. Nie mówię teraz tylko o Sandauerze. Mówię natomiast o duchu dziejów, który nim i innymi kierował. Takie bowiem jest pole refleksji, jakie stwarza Barańczak swoim szkicem o Sandauerze. Jaką teraz wybierzemy wobec nich metodę krytyczną? Problem pozostaje otwarty.

Ale wolno sobie życzyć, czy też nawet radzić dzisiejszym specjalistom od rachunków, aby, ufni w jedyną słuszość swoich racji, nie sięgnęli po słynny chwyt sandauerowski: stosując mianowicie zasadę „bez taryfy ulgowej” nie zakleszczali się sami w podwójnym nelsonie.

• STANISŁAW BARAŃCZAK „Książki najgorsze i parę innych ekscesów krytycznoliterackich”, Wydawnictwo A5, Poznań 1990.

Marzenia o fabule

Bogdan Rogatko

To dwie najbardziej chyba osobiste książki Marka Nowakowskiego. Dominują w nich autotematyzm, elementy autobiografii oraz, szczególnie w trzeciej części „Karnawału i postu”, autorefleksja. Wydane zostały najpierw za granicą, potem w drugim obiegu, a wreszcie w ostatnim roku oficjalnie nakładem „Iskier”. Twórczość autora „Benka Kwieciarza” apogeum popularności osiągnęła w latach 60., potem znalazła się pod ostrzałem krytyki. W latach 70. krytykowano Nowakowskiego za czarnowidztwo, tendencyjne przedstawianie obrazu Polski jako kraju pijaństwa, ciemnych interesów i prostytucji. W latach 80. spotkał się pisarz z zarzutem natury estetycznej: przekroczenia granic literatury, jej redukcji do roli instrumentu służącego ukazywaniu rzeczywistości stanu wojennego.

Opowiadania, które zaczęły

powstawać na początku roku 1982, podporządkowane zostały regule dwoistego podziału świata, były apoteozą społecznego buntu. Nowakowski podobnie jak w czasach młodości i tym razem uległ pewnej fascynacji, tyle że innego rodzaju: młot człowieka ze społecznego marginesu, mit owianego legendą lumpa, zastąpiony został mitem działacza „Solidarności”. Tak wtedy, jak i teraz wartością nadrzedną okazywał się honor, a rzeczą najważniejszą — o broną godność własnej i wierność sprawie oficjalnie nie akceptowanej.

Twórczość Nowakowskiego, rozwija się wszędzie i w głąb; w kolejnych jego utworach powtarzają się podobne wątki tematyczne i motywy, występują te same postacie, a narrator stara się zachować postawę świadka. Ale beznamiętność tej prozy jest pozor-

na. Nowakowski dręczy pożądaną kreacją, poszukuje on bohatera, czyli — jak sam podkreśla — „człowieka wspianego”, marzy o stworzeniu świata opartego na jasnej hierarchii wartości. Tom „Karnawału i postu” zamyka utwór o znamienym tytule: „Fabula”. Zupełnym nieporozumieniem jest uwaga Janiny Katz-Heuwelson, która omawiając najnowszą prozę Nowakowskiego w paryskiej „Kulturze” sugeruje, że ten „obszerny notatnik o nierównej wartości” powinien nosić raczej tytuł „Fabuły”. Wystarczy wyczytać się w taką oto autorefleksję:

„Wzbić się ponad równinę, zobaczyć góry. Opanować chaos, nadać temu niezaleźny, własny porządek. Stworzyć fabułę, świat. Wprawić w ruch własnymi prawami, obdarzyć nowym życiem, nie kępować się realizmem czy tradycją. Nie uważać na żadne tabu. Śmiało i z rozmachem wznoś się gmach. Tylko jak to robić? Męczy i gniecie. Tyle lat wegetacji w dołnym żywiole. Zalewa i dusi. Próbuje znaleźć niedostępną dla niszczycielskich odmetów wyspę i zacząć tam jak Robinson. Gwałtowna potrzeba jakiejś nośnej fabuły, ram konstrukcji, dźwigni. (...) Być alchemikiem. Męczące marzenia. Dopadają noca, wybijają ze snu. Zakłócają spokój dnia. Może już nie dam rady.”

Dylemat twórczości Nowakowskiego to dylemat polskiej literatury. Nawet taka jej cecha, jak tematyczna prowincjonalność, odzwierciedla szerszy i poważniejszy problem narodowego kompleksu, któremu na imię Europa. Ułubionym miejscem akcji opowiadań Nowakowskiego jest albo przedmieście Warszawy, te różne podmiejskie miejscowości, podmiejska prowincja po prostu, albo też knajpy i eleganckie lokale Warszawy, gdzie „szpanuje się”. Opowiadanie z tomu wydanego przez Instytut Literacki w 1984 r. pt. „Dwa dni z aniołem” nosi przewrotny tytuł: „Jeden dzień w Europie” — czyli w barze hotelu „Europejskiego”.

W najlepszych artystycznie utworach Nowakowski wznosi się ponad „kreki związek z rzeczywistością”, ponad zbyt jednoznaczne opisy regionów peerelowskiej rzeczywistości i fascynację tanią mitologią. Zdobywa się na dystans podkreślany ironią, sarkazmem, próbą groteski, nawet satyry. Po raz pierwszy ujawnił się ten dystans w tomie „Książkę nocy”, następną cezurą w twórczości Nowakowskiego był grudzień roku 1981: w latach 80. zaczął pisać może nie na przekór, ale jakby obok „Raportu o stanie wojennym” opowiadania zebrane w tomach: „Grusza, ja Ciebie skazuję...”, „Dwa dni z aniołem”, „Portret artysty z czasu dojrzalości”, „Karnawał i post”.

W „Portrecie artysty” poszukuje pisarz korzeni swej biografii, która uczyniła z niego piewę warszawskiej prowincji, podwórkowego trubadura tęskniącego do świata prostych wartości. To bardzo melancholijna i bardzo gorzka książka. Wędruje w niej artysta od czasów wojennego dzieciństwa aż do dnia dzisiejszego, w którym już tylko wspomnienie młodości wywołuje żywsze uczucia. W „Karnawale i poście” więcej można znaleźć elementów autoironii, w niektórych opowiadaniach obecna jest też zaduma nad kondycją polskiej literatury. Świadomy, że dylematu obywatelskich powinności nowej sztuki nie da się rozwiązać ani poprzez ucieczkę w świat sztuczny i wydumany, ani poprzez przyjęcie roli beznamiętnego świadka epoki, Nowakowski broni prawa do „wymierzania sprawiedliwości widzialnemu światu”. Ale zarazem marzy, jak niegdyś jego mistrz Joseph Conrad, o wielkich konstrukcjach literackich, o Fabule, która jawi się pisarzowi niczym szczyt dalekiej góry. Ale umieć dostrzec ten szczyt — to już połowa sukcesu.

MAREK NOWAKOWSKI: „Portret artysty z czasów dojrzalości”, „Iskry” 1989; „Karnawał i post”, „Iskry” 1990.

• Książki dobre

Dzieje rodzinne, dzieje Żydów są fabularnym tworzywem dziesięciu nowych opowiadań Henryka Grynberga. Powrót do przeszłości jest naturalnym odruchem w sytuacji kryzysu i zagrożenia. Podróże te łączą się ze wspomnieniami wojny. Pamięć przynosi groźne, niepokojące obrazy. Na okładce książki widzimy otwarte drzwi — odmykają przeszłość.

Pisarz opowiada podwójną historię — zagłady Żydów i historię ocalałych. Większość utworów rozpoczyna przywołaniem rodzinnego krajobrazu, rodowodu bohaterów. Początek jest zwyczajny, ani legendarny, ani heroiczny. Lecz potem historie zmierzają do przewidzianego z góry finału: wojny, tułaczki, utraty najbliższych. Polska jest miejscem, skąd trzeba uciekać. Autor nie zastanawia się, jak to się stało, że losy Żydów zostały wpisane w wielki plan

OTWARTE DRZWI

Iwona Misiak

zagłady — on mówi o samotności i śmierci.

W opowiadaniu zatytułowanym „Ojczyzna” bohater podejmuje próbę odnalezienia siebie w nowej sytuacji. W czasach po holokaulu. Porzucając jadowite, przypadkowe życie w Warszawie, wraca do swej niewielkiej ojczyzny, pół koniczyzny i łubinu, piaszczytych, wiejskich dróg, przy których stoją kapliczki. Nawiazuje utracone porozumienie z naturą. Utożsamiając ludzi z drzewami, odwołuje się tym samym do wspólnych początków, do raju. Odszukuje rodzinny dom, a ludzie rozpoznają jego twarz bez trudu, gdyż do złudzenia przypomina ojca.

Okaże się, że ta podróż rozpocznie nową wędrówkę — emigrację. Stojąc nad grobem ojca, niewielkim czworokątem porośniętym trawą, z przerażeniem zauważa, na środku ludzki kał. Przypomina zmarłemu: „Po raz drugi tutaj nie umrzesz (...) Zabieram cię, wyjeżdżamy (...) A gdy dorobi się już tego co wszyscy — nikt nie przyjdzie spać na nasz grób. Dla syna, który mnie pochowa, może to być bardzo ważne. Bo to się właśnie nazywa ojczyzna”. Wszystkie postaci, przywołane w tej prozie ulegają przemianom, wybierają nową przestrzeń życia. „W przestrzeni odległości są mniejsze niż w czasie”.

Niektóre utwory mają początek w przeszłości, poznajemy bohaterów od momentu urodzin. Inne zbudowane są na odwrotnej zasadzie, są to opowieści o wychodzeniu z teraźniejszości.

Bohaterowie Grynberga szukają wolności. Zazdroszczą jej zwierzętom. Jak ptaki wyrzucane z gniazda, przegarnięte przez ludzi, przywiązane i oswojone, powierzają swój los w obce ręce. Lecz nie mogą żyć bez łąk, mokradeł i lasów. Oddalają się, aby zaliczyć najważniejszy egzamin, a „zdaje ten, który nauczył się żyć o własnych siłach i nie ufać nikomu” (opowiadania: „Ptak”, „Racoon”).

HENRYK GRYNBERG, „Szkice rodzinne”, Czytelnik 1990, s. 228.

Drukujemy kolejny odcinek głośnej na Zachodzie książki J. Barrona, dokumentującej sposób i styl działania KGB. Autor specjalizuje się w tej szczególnej dziedzinie wiedzy i każda jego książka, choć kontrowersyjna, przyjmowana jest z ogromnym zainteresowaniem. Całość przygotowuje do druku Wydawnictwo Literackie. W poprzednim odcinku Barron ukazuje jak — poprzez z pozoru niewinną działalność handlową — KGB rozszerza krąg swych współpracowników na Zachodzie.

KGB — ukryta ręka (VII)

John Barron

Tym razem jednak postanowiono zakupić zwierciadła Spawra od Webera i spróbować sporządzić ich kopie we własnych laboratoriach. Lecz naukowcy radzieccy nie potrafili rozszyfrować procesu, dzięki któremu wytwórca tak doskonale wyglądał powierzchnie swoich wyrobów. Stwierdzili jedynie, iż lustra te są znacznie doskonalsze od wszelkich im znanych i mogą w znacznym stopniu wzmacniać skuteczność laserów.

W styczniu 1976 roku Sowiet, poprzez Webera, złożyli liczne zamówienia, a Spawr szybko zabrał się do pracy, aby wywiązać się z tych — jak mówił — „rosyjskich dostaw”. Lustra znajdowały się na liście towarów strategicznych, których nie wolno wywozić ze Stanów Zjednoczonych bez wyraźnej zgody Departamentu Handlu.

Ale, jako że na zamówieniu figurowała zachodniemiecka firma Webera, Spawr uznał, że nie potrzebuje koncesji wywozowej i nie zabiegał o nią.

Sowieci byli tak bardzo podekscytowani przyszłym wykorzystaniem luster, że już w kwietniu tego samego roku zamówili dalsze dwadzieścia dziewięć sztuk. Wszystkie miały być chłodzone wodą, a połowa spośród nich winna posiadać niezwykle duże wymiary — około 15,74 cala średnicy. Jeżeli nawet Spawr miał jakieś złudzenia co do zamierzeń radzieckich, charakter zamówienia musiał je rozwiać do reszty, bo ten właśnie rodzaj zwierciadeł wykorzystywany mógł być jedynie do broni laserowej i do badań nad tą bronią.

Tym razem jednak Spawr zastanawiał się nad licencją eksportową. I wreszcie, w maju, poprosił o zezwolenie na sprzedaż czternastu mniejszych luster do Związku Radzieckiego. Jego podanie nie wspominało jednakowoż o pierwszym zamówieniu ani o piętnastu dużych zwierciadłach ujętych w drugim. Kiedy lustra wykonane w ramach pierwszego zlecenia były już gotowe, Spawr i jego żona, Frances, wysłali je do firmy Webera w Niemczech, zaopatrując w fałszywe faktury, określające ich wartość poniżej 500 dolarów. A Weber czym prędzej wyeksportował całość dalej, do Moskwy.

W październiku, „ze względu na wymogi bezpieczeństwa”, Departament Handlu kategorycznie odrzucił podanie, które Spawr złożył był jeszcze w maju. Toteż przedsiębiorca, rozgoryczony, iż rząd wtrąca się do jego prywatnych interesów, umówił się z Weberem, że prześle mu dwadzieścia dziewięć dodatkowych luster dla Sowietów, korzystając z pomocy handlowej firmy szwajcarskiej. Ponownie fałszowali faktury i ocenili wartość luster poniżej pięciuset dolarów.

W istocie wartość ich sięgała dziesięciu tysięcy dolarów. Zresztą była to i tak drobna suma w porównaniu z wartością, jaką przedstawiały dla Rosjan. Ci ostatni, by móc wytworzyć dużą ilość broni laserowej i prowadzić rozpoczęte już badania, potrzebowali wielu tysięcy luster, nie tylko tych znanych transportów, otrzymywanych via Niemcy z Kalifornii. Toteż zaferowali Spawrowi półtora miliona dolarów za odstąpienie im technologii i niezbędnych urządzeń do polerowania gotowych wyrobów.

Za pośrednictwem jednego z byłych pracowników Spawra FBI dowiedziało się o nielegalnym eksporcie. 9 marca 1978 roku pracownicy Departamentu Cel i Handlu poinformowali Spawrów, iż wdrożono przeciwko nim śledztwo. W rezultacie federalna ława przysięgłych oskarżyła ich o nielegalne działanie, fałszerstwo odpowiednich oświadczeń i nielegalny wywóz urządzeń laserowych do Związku Radzieckiego.

Wykorzystując swą dotychczasową reputację patrioty i człowieka ze wszelkich miar uczciwego, Spawr bronił się nader przebiegle. Zaprezentował się jako ciężko pracujący drobny przedsiębiorca, który sam doszedł do wszystkiego, a teraz pada ofiarą pomówień rozpasanej biurokracji. Lustra są najzwyklejszym towaram, nie mają żadnej wartości militarnej, o poza tym wcale nie było mu wiadomo, jakoby miały być przeznaczone na wywóz do Rosji.

Mimo to 12 grudnia 1980 roku federalna ława przysięgłych skazała Waltera Spawra aż z pięciu oskarżeń, a Frances Spawr — z jedenastu. Sędzia zawiesił wykonanie wyroku dla Spawra (dziesięć lat więzienia), skazując go jedynie na sześć miesięcy, natomiast pani Spawr miała się przez pięć lat znajdować

pod specjalnym nadzorem. Skazano też obojga na pięćset godzin pracy na rzecz społeczeństwa i nałożono na firmę grzywnę w wysokości stu tysięcy dolarów. Spawrowie wnieśli apelację.

*

Rosjanie nadal mają wielkie trudności z budową i funkcjonowaniem fabryk produkujących obwody scalone i mikrokomputery. Stosując półprzewodniki oraz technologie zakupione lub wykradzione w Ameryce, udało im się jednak w pewnym stopniu skopiować komputery typu IBM 360 i 370. Tak czy inaczej, dla stworzenia solidnych podstaw produkcji przyszłej broni posilkującej się mikroelektroniką, musieliby równocześnie uruchomić produkcję własnych, reprezentujących odpowiedni poziom półprzewodników. Tak więc KGB obarczone nader trudną misją: wykradzenia wszystkich najnowszych amerykańskich urządzeń i technologii, niezbędnych dla stworzenia w Związku Radzieckim nowoczesnej wytwórni mini-komputerów i obwodów scalonych.

20 czerwca 1977 roku Stany Zjednoczone otrzymały pierwsze ostrzeżenie w związku z tą akcją. Był to anonim, napisany w Niemczech i wysłany do konsulatu amerykańskiego w Düsseldorfie. Donosił on, że syndykat firm, na czele których stoi California Technology Corporation, fałszuje dokumenty eksportowe i nielegalnie wysyła objęty embargiem sprzęt do krajów objętych zakazem. I, jak podkreślał anonim, głównym celem jest tutaj „nielegalne zgromadzenie kompletnego systemu dla produkcji półprzewodników i obwodów scalonych, dostępnych dotąd tylko w USA”, a następnie dostarczenie go krajom bloku sowieckiego. Autor anonimów dowodził, iż szefem grupy CTC jest obywatel Niemiec Zachodnich, zamieszkały w amerykańskiej miejscowości Marinabay.

List ten przekazano do Biura Administracji Eksportu w Departamencie Handlu. Posiada ono prawo wszczynania dochodzeń. Jednak, choć niebezpieczeństwo kradzieży technologii wzrastało z roku na rok, stosowny, wyspecjalizowany oddział tego biura liczył sobie zaledwie niespełna dziesięciu inspektorów i około dwudziestu pięciu-osób innego personelu. Niewiele spośród nich miało jakieś konkretne doświadczenia, gdy idzie o sprawy związane z prowadzeniem śledztwa, pracą wywiadu czy kwestie radzieckie. Oddział ten nie miał nawet formalnego programu szkolenia ani szczegółowej instrukcji dla swego personelu. Aż do wiosny 1979 roku Departament Handlu o wiele bardziej był zainteresowany promowaniem towarów amerykańskich i rozwojem odprężenia w stosunkach z ZSRR niż hamowaniem odpływu tajnych technologii.

Anonimowe ostrzeżenie zawierało szczegóły, które mogły posłużyć do zbadania wiarygodności informacji. Jednakże Departament Handlu w ogóle na nie nie zareagował, nie powiadamiając też o nim żadnej innej instytucji.

Należycie przeprowadzone śledztwo wykazałoby bez trudu, iż California Technology Corporation, a także inne, wymienione w anonimie firmy, zostały połączone przez Wernera Jorgea Bruchhausena, Niemca z RFN, zamieszkałego co prawda nie w Marinabay, lecz w Marina del Rey, w Kalifornii. Wszystkie te firmy istniały tylko na papierze; żadna z nich nie posiadała własnych aktywów, żadna też nie produkowała oficjalnie zadeklarowanych towarów. Głównym urzędnikiem CTC (występującym też pod osiemnastoma innymi nazwami) był Anatolij Maluta (alias Tony Metz), urodzony 25 stycznia 1920 roku w Charkowie. Jedyne jego personelu stanowiła Sabina Dorn Tittel, młoda Niemka, która także figurowała na listach pracowników wielu innych towarzystw.

Drobiazgowe śledztwo mogłoby ujawnić jeszcze więcej faktów: Bruchhausen stał na czele — lub był założycielem — szesnastu przeróżnych towarzystw w Ameryce i w Europie, i często miewał do czynienia z władzami radzieckimi. Maluta i Tittel byli jedynie pośrednikami stałego przepływu gotówki, pochodzącej z tajemniczych źródeł.

Znajomość tych faktów z pewnością zwróciłaby uwagę departamentu na Syndykat CTC oraz na Bruchhausena, Malutę i Tittel. A także spowodowałaby zapewne, iż następne ostrzeżenie, z kwietnia tegoż samego roku, potraktowano by znacznie poważniej.

Urzędnik towarzystwa Perkin-Elmer w Wilton, Connecticut, Robert Markin, dowiedział się, że CTC zamówiło wysokiej klasy sprzęt produkujący półprzewodniki oceniany na ponad sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Eksport tego sprzętu do ZSRR był przedsięwzięciem nielegalnym, gdyż urządzeń tych w ogóle nie było wolno gdziekolwiek wywozić bez zgody Departamentu Handlu. Markin oświadczył w Departamencie Handlu, iż Sowiet tak rozpaczliwie potrzebują wspomnianego sprzętu, iż oferują za niego miliony. W rezultacie firma Perkin-Elmer sprawdziła dokładnie California Technology Corporation, przy czym mogła stwierdzić, iż stanowi ona jedynie fasadę dla zorganizowanej grupy, zamierzającej przerzucić owe urządzenia do bloku wschodniego.

W osiem dni później przedstawiciel departamentu przesłuchał Malutę, który zdążył już zmienić nazwę firmy z CTC na Consolidated Protection Development Corporation. Udając nieznajomość skomplikowanych przepisów prawnych, Maluta oświadczył, iż jego firma jest bardzo niewielka i sama właściwie niczego nie eksportuje. Służy raczej swym pośrednictwem i wynajmuje dostawców dla cudzoziemskich kontrahentów. Gdy idzie o wzmiarkowane zamówienie, nie posiadał żadnej klasy dokumentacji. Przyjął je po prostu telefonicznie. Niemniej nie chce być zamieszany w jakieś podejrzanе przedsięwzięcie. Dlatego też odwoła zamówienie na sprzęt półprzewodnikowy. W maju departament upewnił się, za pośrednictwem firmy Perkin-Elmer, że zamówienie istotnie zostało wycofane, i zdecydował, że nie ma potrzeby podejmowania dalszych akcji. (CDN)

Wołanie z marginesu

Marta Wyka

Przez wiele lat żyłam w wygodnym przekonaniu, iż warstwa społeczna, do której należę, stanowi wzór, będący celem dla innych. Przekonanie to było tak dalece komfortowe i ślepe, iż wydawało mi się, że jestem wręcz przedmiotem zazdrości; moje wykształcenie, moje upodobania, książki, które czytam, opinie, które wypowiadam, ba, nawet moja niepraktyczność i dosyć niski status finansowy, to wszystko chciałoby naśladować lub zgola osiągnąć zastępy rodaków. Słowem, zdawało mi się, a sadzę, czy nawet wiem, że nie tylko mnie, iż to inteligencja bliższy jak klejnot godny pożądania i wszyscy marzą o reprodukowaniu bibliotek, a nie pomnażaniu kont.

Jeżeli tak grubo zdaje sprawę z tego stanu ducha, to czynię to dlatego, iż przusło mi nagle zdać sobie sprawę z rozmiarów mojej naiwności. Podczas, gdy społeczeństwo zmieniało się i zaczynało kroczyć w zupełnie inną stronę, ja pozostawałam wciąż w kręgu zaniekanej tradycji, w myśl której powinniśmy emanować z siebie duchowe wartości, pokazywać, jak tropić owe wartości w tekście pisanym, wreszcie czynić z nich zbiór zasad, coś na kształt dekalogu. Tymczasem dawno już należało odłożyć na półkę staromodnych pisarzy, którzy ponoszą winę za powstanie tych wszystkich mrzonek, ich nazwisk nawet nie wymieniam, aby nie powiększać mojego nudziarstwa. Syndrom inteligentki wypalił się nie wiedzieć kiedy, zaś wokół mnie jak grzyby po deszczu wyrósł zastępy młodych, praktycznych, zdolnych do interesu, przebojowych. Arywizm stał się hasłem dnia i nie widzę powodu, aby go łączyć z odnową ojczyzny, z patriotyzmem w ogólności.

Arywizm nie wymaga precyzyjnej artukulacji, zatem słusze wokół siebie, w coraz większym nasileniu, głosy bełkotące i zamazane, jakieś myśli domagają się ekspresji, ale

nie sposób jej osiągnąć, więc pomóc sobie należy ręką, grubą aluzją, zdania rozpadają się jak krzywo ustawione płyty, pozycja społeczna nie gra tutaj roli (od ekspedienta po prezydenta). Można już tylko zrozumieć 80-letnich starców, najlepiej z kresowym akcentem.

I nagle czuję się nie tylko przedstawicielką mniejszości, lecz na dodatek społecznym marginesem. Bo jeżeli współczesny młody inteligent prowadzący audycje kulturalną „Pegaz” mówi z odprężoną twarzą „kompendium”, to może on ma rację, a nie ja? Zaczyna mnie ogarniać silne poczucie zagrożenia, połączone z przeczuciem katastroficznym. I wydaje mi się, że dopiero teraz zrozumiałam Witkacego. Wielokrotnie czytałam go na uniwersyteckich zajęciach i powtarzałam studentom, jak to Witkacy przewidywał zanik uczuć metafizycznych w przyszłej cywilizacji, jak narastał w nim lek przed społeczeństwem termitów. To prawda, iż Witkacy bał się jeszcze dodatkowo czerwonej i żółtej zarazy. Ale najgłębszy jego lek wiązał się z konterfektem przyszłości pozbawionej rysów tajemniczych, rysów duchowych, określonej twardo i jednoznacznie, zdrowej i cielesnej.

Kto się dzisiaj przejmuje dziwactwami Witkacego? „Wariat z Krupówek” — określenie może i śmieszne, nade wszystko jednak lekceważące. Ale te wariactwa dalej są przedmiotem kpiny. Albo już nie są w ogóle przedmiotem niczyjej uwagi. Proroctwa przestały działać. Tak samo jak, wraz z końcem komunizmu, zaczęła tracić drapieżny pazur dwudziestowieczna antyutopia. Koestler, Orwell, Zamiatin to poczytne dokumenty pewnej mentalności, na pewno ostrzeżenia, ale już historyczne. Idzie nowa epoka — przeżnej antyinteligentności, wszechobecnej, interesu. Kto napisze książki — ostrzeżenia przed nią? Przed naszą współczesnością?

KTO CO CZYTA?

PRZEMYSŁAW MROCZKOWSKI — profesor-anglista, pisarz:

Czytam obecnie angielską książkę NEWMAN AFTER HUNDRED YEARS, czyli jak tytuł wskazuje, Newman odczytany na nowo, zaktualizowany niejako po stu latach, w tym po Soborze II Watykańskim, za którego prekursora, w pewnych aspektach, jest on uważany. Z książki tej wyłaniają się nowe oblicza Newmana, kardynała, teologa, profesora, filozofa. Oto okazuje się on ciętym polemistą, z ironią podejmującym niektóre tematy. Książka jest pracą zbiorową, którą zredagowali IAN KER i ALLAN G. HILL. Pracę pierwszego z nich miałem okazję recenzować, co zbiegło się z przygotowaniem przez PWN w moim przekładzie i opracowaniu zbioru wykładów Newmana pt. „IDEA UNIwersytetu”, podejmujących kluczowe zagadnienia nauki i nauczania. I tu Newman okazuje się bardzo nowoczesny, co widać np. w wykładzie o autonomii kultury świeckiej, tak zbliżonym do dziś wyrażanego stanowiska Kościoła w tej mierze. Książka ta właśnie się ukazała.

JAN JÓZEF SZCZEPAŃSKI — pisarz:

Poza zaległymi czasopismami, takimi jak „Zeszyty Literackie”, a także „NaGłos”, czytam teraz z dawna do gruntowniejszej lektury odkładaną książkę „ŚWIADOMOŚĆ NADPRZYRODZONA” SIMONE WEIL, fascynującej mnie swymi przemyśleniami, które budzą u czytelnika głęboki odzew. Uderza w nich jej maksymalizm moralny, który przyjmuję z pewnymi oporami, ale przedzieram się przez nie ze świadomością, że jest to nie tylko ze wszech miar interesująca, ale także niezwykle ważna lektura. Powinno się ją mieć w swoim doświadczeniu.

BARBARA SŁAWOMIRSKA — tłumaczka, kierownik Redakcji Literatury Przekładowej WL:

Z racji zainteresowań zawodowych — jako tłumacza i osoby zajmującej się przekładami — zmuszona jestem czytać bardzo dużo, ale niestety, nie zawsze rzeczy, które czytałabym, gdybym miała możliwość wyboru. Czytam głównie książki obcojęzyczne i dochodzę do smutnego wniosku, że chociaż na Zachodzie wydaje się — i sprzedaje — ogromne ilości książek, to „wielkiej” literatury jest bardzo niewiele. Dominują książki dla masowego czytelnika — romanse i czytadła dla kobiet, silna, sensacyjna literatura dla mężczyzn.

Młym zaskoczeniem jest utrzymywanie się od wielu już tygodni na liście bestsellerów, publikowanej przez amerykański tygodnik dla wydawców „Publishers Weekly”, nowej książki Kurta Vonneguta „Hocus Pocus” i Gabriela Garcii Marqueza „General w swym labiryncie”.

DEKADA LITERACKA — tygodnik kulturalny. Wydawca: Spółka Wydawnicza „Gazeta Krakowska”. Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1, IV piętro. Redaguje zespół: Leszek Elektorowicz, Ewa Lipska, Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Piekło, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny), Teresa Walas, Marta Wyka. Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Wacław Iwaniuk (Toronto, Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański, Wiesława Szymborska.

Andrzej Zaręba przedstawia:



Halina Bortnowska



Prof. Jacek Woźniakowski

HYDE PARK czytelników

Niewielka — na razie — objętość naszego pisma nie pozwala na wykorzystanie wielu z nadesłanych prac literackich. W tym kąci nie zmieszczą się żadne większe formy (opowiadania, poematy i inne).

Dziś, że względu na melancholijnie nastrojający zaokeenny pejzaż noworoczny, decydujemy się na wiersz ELŻBIETY JANICKIEJ z Nowego Sącza:

Dziewięciś

Lilia wodna
pośród traw
rózowieje
błądą pokusa

Na czarnej koronce jagód
aplikacje ostów
bezpieczne
mimo
procesji salamander
racie ciężkich
i lżejszych

Brosze
malownicze
na tkaninie lak

W naszym Hyde Parku
debiutuje też pan JANUSZ
NAZIM z Myślenic, który
przesłał kilka wierszy do oceny. Wybieramy jeden:

Spokój

Stąpam po parkiecie — rano
myśli budzą się we mnie,
język zamiera
wychodzę na scenę przez
drzwi otwarte na oścież
na ulicę napiętą jak struna.

Graffiti czyli mówią mury

Niech tu nie zawraca głowy
Ten byznesmen atomowy.
Pierwsza dama będzie z Gdańska
Nie księżniczka peruwiańska.

WARSZAWA

Wypuścić ryby z puszek!

MYŚLENICE

Listy do redakcji

„Siedzę sobie świątecznie w Lipnicy Murowanej, bez złych przeczuć kupuję sobotnią „GK” (29 XII) i oto: Rewelacja pt. „Urna wyborcza...” A takie nazwiska w stopce! Kochane Wielkie: Wiesława Szymborska, Ewa Lipska! Jak mogłyście dopuścić? Zebyż to było do śmiechu..., ale nie: straszliwie pseudo-serio. Jakby mi kto wbił zardzewiały nóż w serce (trudno, choć nigdy nie byłam Kliszka, kocham Norwida, a tu rzeczywiście „Dekada — sięgnęła dna...”). W 172 lat od tamtego wielkiego dnia, kiedy powstał ów utwór „co-Polskę głosił” — a teraz chyba naprawdę „jest chora” (Polska? Poeci? Redakcja —). Straszna przykrość —

DANUTA MICHAŁOWSKA

Od redakcji: Przykro nam, że pastisz „Fortepianu Szopena” pióra Witolda Turdzy nie spodobał się pani Danucie Michałowskiej. Nam osobiście wydaje się, że była to udana próba.